Nr. 8 (1156). Warszawa, 8 (21) Lutego 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚC: POLITYKA: Polityka Bulgaryi. — Nowa teorya narodowości i państwa w Austryi, II, p. K. Radosławskiego. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Kto się groźby nie lęka, Grajek, p. Edwarda Nałęcza. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Listy z Francyi, p. dr. Józefa Zielińskiego. — Praca robotnic, p. K. Krauza. — Wyższe wykształcenie kobiet, p. sz. — FEJLETON: Pamiętnik. — LITERATURA I SZTUKA: Poezya i rymy, p. A. Drogoszewskiego. — POEZYE: Serce obce, p Andrzeja Niemojewskiego. — SPRAWY EKONOMICZNE: Rozwój monopolu w Anglii, p. T. Filipowicza. — POLEMIKA: O prawdę: I) O bezecnej rzeczy (odpowiedź panu Go - onowi), p. Kazimierza Krauza. II) O prawdę, p. Kobietę. - Międzynarodowy rynek pracy — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Polityka Bulgaryi.

Niespodziewanie po doniesieniach o zbrojeniu dwu dywizyj bulgarskich i ustawianiu ich na pograniczu przeciwko mobilizowanym wojskom tureckim — telegraf przyniósł wiadomość o radzie gabinetowej w Sofii, o postanowieniu zaniechania uzbrojeń, wstrzymaniu dywizyj, przygotowujących się już do pochodu, a nadewszystko o rozwiązaniu głównego komitetu macedońskiego pod kierunkiem Michajłowskiego i komitetu emigrantów macedońskich, obu w Sofii, oraz komitetów pomocniczych na prowincyi. Stało się to wszystko pomiędzy 10 a 15 b. m., stało się tak radykalnie, że rząd, poleciwszy telegraficznie rozwiązać komitety rozsiane po kraju, nie zawahał się w Sofii samej uwięzić w nocy z d. 13 na 14 przewódców obu komitetów stołecznych. Dostali się tedy pod rygiel prócz Michajłowskiego jeszcze Conczew i Staniszew, a policya poszukuje Jankowa, Nikołowa oraz głośnego Sarafowa, dawniejszego prezesa, Daniłowa i Kowaczewa — trzech ostatnich jakoby zbiegłych już z więzienia. Akcya zatem na wielką skalę, a ton rządu wobec propagandy nawet nieprzyjacielski. Prezes gabinetu, Danew, w d. 15 b. m. oświadczył w zgromadzeniu narodowem, że rząd postanowił „bez miłosierdzia" zgnieść wszystkie komitety.

Oczywiście, jest to cnota z potrzeby. Rosya działa wspólnie z Austryą. Od czasu odwiedzin hr. Lamsdorffa na przełomie roku wspólnym programatem jest narzucenie Turcyi takich reform, któreby już istotnie do uspokojenia przyczynić się mogły. Wszelkie wichrzenia, podniecające Turcyę do postawy odpornej a rozdmuchujące płomienie i płomyki macedońskie, musiały psuć robotę dyplomatyczną i rozwiewać nadzieję zapobieżenia wypadkom, przewidywanym na wiosnę, nowemi, istotniejszemi od poprzednich reformami. Działalność dalsza komitetów mogłaby całą usilność dyplomacyi uczynić bezpłodną, gdyż samo wystawienie aż dwóch dywizyj (ok. 20,000 ludzi) na granicy macedońskiej miałoby już zachęcający i wręcz podżegający przeciw Turcyi charakter. Pierwszy Wiedeń zwrócił na to uwagę gabinetu z nim współdziałającego, a ponieważ na teraz żaden z nich nie chce wojny, i nawet zawikłań wojennych, wysłano więc do Sofii rozkaz zaniechania mobilizacyi i rozwiązania komitetów. W Sofii nie namyślano się: zrobiono nawet formalnie więcej, niż dyplomacya żądała.

Tymczasem pp. Zinowiew i Calice, ułożywszy już wspólnie projekt reform, czekają na zatwierdzenie go i wskazanie, w jaki sposób przedstawić go mają Porcie. Może instrukcye już nadeszły; w każdym razie niedługo czekać na siebie każą, bo kwiecień już niedaleko, a w kwietniu zarunią się znowu nietylko trawy na łąkach, ale i żądze w głowach. Artykuł *Gońca urzędowego* z końca roku zeszłego wskazał już wagę tego terminu — i dyplomacya powołana do roboty doskonale widzieć musi jego grozę, w razie nieukojenia żądz Bulgarów macedońskich. Przypuszczać wolno, że reformy nie będą półśrodkiem, lecz rzeczywiście przyniosą polepszenie i pociągną ludność, mającą z nich korzystać. Dotychczas nic o programacie pracy obu posłów stambulskich nie wiadomo; są tylko wzmianki, że chrześcianie mają być przyjmowani do żandarmeryi w pewnym stałym stosunku liczebnym, że ludność ma mieć wpływ na praktykę poboru podatków, że wreszcie, co najważniejsza, gubernatorem generalnym, po nad walim nawet, ma być chrześcianin, Europejczyk. Bardzo trudne jest ułożenie czegoś, co by było skutecznem, a jednocześnie utrzymywało nietylko prawa Turcyi, ale nawet jej systemat policyjno-administracyjny, mniej lub więcej zmieniony, w każdym jednak razie turecki.

Reformy skuteczne muszą iść koniecznie w tym kierunku, w którym idzie życie samo, dzieje nam współczesne, w ramy dnia dzisiejszego wzięte: ku zupełnemu wyzwoleniu z pod Turcyi, a taki kierunek będzie bardzo niemiłym sułtanowi, i tylko dobrze przyparty do muru, zgodzi się on na częściową abdykacyę. Dobre przyparcie wymaga dobrego porozumienia, doskonałej zwartości, a to znowu nie jest pewnem. To dyplomatyczne *condominium*, teraz wykonywane na półwyspie Bałkańskim, nie jest związkiem trwałym, budzącym zaufanie, zdolnym wytrzymać próbę egoistycznych interesów, których przecież żadna strona

wyrzec się nie mogła. Ale przypuszczając nawet doskonałą zgodę, wyborne reformy, nieskazitelną uległość rządu bulgarskiego a roztropność Turcyi — jeszcze się nie otrzymuje rozwiązania kwestyi, sięgającego po za termin od wiosny do wiosny. Macedonia to nie sami tylko Bulgarowie: to także Serbowie i Grecy i nawet Kuco-Wałachy, a przecież ostatecznie i Turcy. Co zrobić z nimi wszystkimi, jak ich pogodzić pomiędzy sobą, co każdemu z nich dać i z terytoryów i ze swobód, ażeby wrzenie dotychczas bulgarskie nie stało się powszechnem, wszystkie żywioły narodowości ogarniającem i podniecającem? Dotychczas Bulgarowie stoją na przodzie, idą na czele kolumny, mają przyrzeczenia, i za nie właściwie odpłacają się uległością; ale przecież na Bulgarach świat bałkański się nie kończy. Ta różnolitość półwyspu nie przestanie być utrapieniem dyplomacyi europejskiej, czy też państwa, które go opanuje, nawet i wtedy, gdy już Turcyi w Europie nie będzie; musi też być niemałą troską dzisiaj, gdy Turcya jeszcze jest. Dopóki się utrzyma walka narodowości bałkańskich pomiędzy sobą—będzie ona w jej rękach bronią opóźniającą jej wywłaszczenie z Macedonii środkami samej tylko dyplomacyi.

NOWA TEORYA narodowości i państwa w Austryi.

II.

Narodowości muszą więc być uznane za zbiorowości i zaopatrzone w środki prawne zaspakajania swych potrzeb. To pojmowanie organiczno-federalistyczne narodowości i stosunku jej do państwa przestrasza jednak zwolenników jedności państwowej wewnętrznej i zewnętrznej. Lecz niechże przyjrzą się oni bezstronnie rzeczywistości, a wówczas się przekonają, że jak tylko zelżały kleszcze absolutyzmu, zbiorowości narodowe, choć nieuznane przez prawo, stopniowo w granicach konstytucyi niby centralistycznej zaczęły faktycznie wytwarzać coraz większą autonomię i federalizm. Nominalnie np. państwo ma w swem ręku nieograniczone prawo mianowania wszędzie urzędników takich, jakich samo z punktu widzenia swych interesów uzna za stosownych; faktycznie wiadomo doskonale, że w całej Galicyi, zaczynając od namiestnika, nie bywa mianowany ani jeden urzędnik wbrew woli reprezentacyi narodowej, choć nieoficyalnej — Koła polskiego w Radzie państwa. Namiestnictwa w Pradze, we Lwowie stały się ministeryami narodowemi, faktycznie prawie niezależnemi od centralnych. W zakresie szkolnictwa, w wielu sprawach, pozornie uregulowanych przez prawodawstwo centralne, każda narodowość, mając wykonanie w swych rękach, urządza się podług swoich potrzeb. Przynajmniej — każda narodowość silniejsza. Bo takie faktyczne urzeczywistnianie się tendencyj autonomicznych bez sankcyi prawnej ma tę wadę, że dostępne jest tylko dla najsilniejszych, a słabsi — Rusini, Słoweńcy — są uciskani i krzywdzeni. Prócz tego, ważnem złem następstwem — podług Springera — jest ciągłe przekraczanie zdrowych granic autonomii, podkopywanie jedności państwa, która się opiera na jednolitej administracyi. Wreszcie, brak prawnego uznania narodowości, jako ciał zbiorowych, uniemożliwia porozumienie się walczących, np. Czechów i Niemców: bo układy prowadzone są przez nieodpowiedzialne, nietrwałe grupy przedstawicieli, i to, co dzisiejsi przedstawiciele ułożą, jutro nowa fala demagogii zmiata z powierzchni. Tak było z punktacyami staroczeskiemi w r. 1880: nikogo one nie obowiązywały, bo nikt nie miał pełnomocnictwa od prawnie zorganizowanej narodowości czeskiej.

W interesie przeto zarówno narodowości, jak państwa leży bezwarunkowo nadanie narodom autonomii prawnej i oparcie państwa na ich federacyi. Ale pod tymi wyrazami: autonomia i federacya, zwykle rozumiane bywa coś, co jest nawskróś wsteczne i absolutnie chybiałoby celu: mianowicie autonomia i federacya historycznych krajów koronnych: „arcyksięstw“ Dolnej i Górnej Austryi, „książęcego hrabstwa“ Tyrolu, „królestwa“ Czech, „margrabstwa“ Morawskiego, „królestwa“ Galicyi i Lodomeryi z W. Ks. Krakowskiem itd. 17 takich „królestw i krajów“ liczy Przedlitawia. Podług autonomistów, w pierwszej linii — czeskich, na ich sejmy miałyby być przeniesione atrybucye prawodawcze parlamentu, a sprawy wspólne załatwiałyby delegacye tych sejmów. Ale pomijając już niemożliwość dla nowożytnego państwa przemysłowego — przekazania ważnego zakresu prawodawstwa organom prowincyonalnym, autonomia krajów historycznych, nawet w razie zupełnej ich demokratyzacyi, nie mogłaby być rozwiązaniem kwestyi narodowościowej, ponieważ w każdym z tych krajów istnieją poważne mniejszości narodowe: w Czechach, na Morawach i Śląsku—niemieckie, w Dolnej Austryi — czeska, w Galicyi — rusińska, na Bukowinie i Śląsku — polskie, w Tyrolu, Istryi, Dalmacyi — włoskie, w Tryeście — słoweńska, w Sztyryi, Karyntyi, Krainie — Niemcy pomieszani są ze Słoweńcami. Autonomia krajów — byłaby więc wydaniem mniejszości na łup większości, uwiecznieniem nienawiści i niezadowolenia. Każdy z tych krajów historycznych — to klatka, w której zamknięto dwoje albo troje zwierząt, nieznoszących się nawzajem. Trzeba zerwać z rupieciem „praw historycznych,“ służących tylko jednym za pretekst czechizacyi, drugim — do dążeń germanizacyjnych, a oprzeć się na potrzebach dzisiejszych narodowości żywych.

To też już w zgromadzeniu konstytucyjnem w Kromieryżu, w r. 1849, gdy ludy austryackie po raz pierwszy mogły same stanowić o swym losie, powstał projekt nowego podziału Austryi na terytorya narodowościowe: niemieckie, czeskie, polskie, rusińskie, włoskie, południowo-słowiańskie, madziarskie i rumuńskie. Były to wnioski Czecha Palácky'ego i Słoweńca Kaucicza. Niemcy byli wtedy tacy głupi, że nie chcieli zgodzić się na naruszenie „jedności historycznej Królestwa Czeskiego“ i innych prowincyj; mieli jeszcze nadzieję zgermanizować Czechów! Dziś z kolei Niemcy domagają się podziału Czech na terytorya czeskie i niemieckie, a Czesi bronią „jedności historycznej,“ bo wzmo-

---

Edward Nałęcz.

Kto się groźby nie lęka.

Bartłomiej Zdyb nie był dygnitarzem, jak łatwo się tego domyśleć po samem brzmieniu jego nazwiska.

Był sobie parobkiem przy wołach, co mu jednak nie przeszkadzało czuć tak, jak czują dostojnicy, i gdy go choroba powaliła na barłóg, usłany w jednej i tej samej izbie, w której wraz z nim, jego żoną i dziećmi mieszkały jeszcze dwie inne parobczyńskie rodziny—to leżał plecami na dół, a do góry wychudłą i zapadłą piersią, która podnosiła się i opadała, niby miech kowalski, gdy go silna ręka do dmuchania zachęci.

Tylko że Bartłomiej nie stękał, nie jęczał, bo miał naturę twardą, od pierwszej chwili istnienia do cierpień zaprawioną.

Życie nie pieściło się z nim, jak z większą częścią tych właśnie, co nie są na dygnitarzy stworzeni.

Więc i teraz chorował sobie dzień, dwa, trzy i jakoś nie było mu lepiej, choć baba warzyła zioła, wlewała w niego wódkę ze smalcem— ten wytworny przysmak, którego zazdrościło mu otoczenie, a którego przy zdrowiu nie pozwalał sobie parobek od wołów, Bartłomiej Zdyb.

Lecz teraz nic mu nie smakowało. Łykał, bo kobieta naglila, a z dawności przywykł jej słuchać, ale wykrzywiał usta i oczy przewracał.

Jakże miał odmawiać posłuszeństwa żonie, która za szesnaście rubli pensyi i sześć korcy ordynaryi rocznie, utrzymywała całą rodzinę, złożoną z sześciu osób, że rzadko byli głodni, choć jeszcze rzadziej zupełnie syci — ale o to mniejsza.

Z soboty na niedzielę w nocy, łatała i prała koszule, że się jakoś na grzbiecie trzymały, kapocinę opatrywała ze wszystkich stron, aby nie zleciała z chłopa.

Jakże takiej przyjaciółki nie poważać?

Tylko butom, to już mimo swej pomysłowości kobieta nic poradzić nie mogła, a że to była jesień i deszcz lał bez przestanku, więc chłopu na wilgoci nogi poogniwały, bo woda wchodziła do butów przez szpary, a choć się i wylewała natychmiast, to ślad jej na marnem cielsku pozostawał.

Oj marne, bo marne było to cielsko Zdybowe; od pewnego czasu choroba czepiła go się i trzymała jak swego.

Ekonomowi zdawało się, że parobek udaje.

— Psiakrew! trzeba będzie wygnać na cztery wiatry... robić mu się nie chce... zły przykład daje drugim. Widząc, że jednemu uchodzi, położą mi się inni, a co wtedy będzie z siewem?..

Tak mówił ekonom, a choroba trzymała chłopa w garści i nie bała się groźby, choć bał się jej okrutnie chory.

— Na zimę z dziećmi, gdzie tu iść, jeśli chlebodawca groźbę spełni?

Tu, choć wilgotny, był w izbie kąt i dach nad głową.

Więc po dwóch tygodniach leżenia, dźwignął się Bartłomiej z posłania i poszedł do stajni, gdzie stały jego dwa siwe woły

Ujrzawszy towarzysza pracy, łagodne oczy rogatych stworzeń spoczęły na nim z przyjaznym wyrazem... długie, ostre języki lizały jego zimne i wilgotne ręce.

— Radeś-ta? — mruczał chłop, kładąc jarzmo na karki siwoszów — alem ja słaby, musita same robić, bo niewiele za wami pługa upcham.

Zaprzągł woły i pojechał w pole.

Dzień był tym razem pogodny. Chłop stanął na roli, zdjął czapkę, przeżegnał się i ruszył za pługiem.

Ale nogi odmawiały posłuszeństwa, skiby znaczył krzywo, jakby po pijanemu, choć dziś już wódki ze smalcem nie pił, bo to tylko dla chorego, a wszak Zdyb już wyzdrowiał, skoro za pługiem po roli chodził aż do południa.

Pot lał mu się z czoła, koszula była na nim mokra, a ekonom tryumfował.

— Chłopa trzeba brać groźbą; gdy tyl-

gli się na siłach i mają nadzieję jeszcze trochę kraju odniemczyć! — Kto nie broni wyłącznego interesu ani jednych, ani drugich, lecz kieruje się jedynie względami sprawiedliwości, ten musi uznać podział na terytorya narodowościowe za najlepszy; ale podział taki napotyka wielkie trudności. Gdzież są dziś jednolite i ściśle odgraniczone terytorya narodowościowe? Miasta niemieckie i włoskie rozsypane są wśród zwartej ludności słowiańskiej, polskie — wśród rusińskiej. W wielu miejscach dwie narodowości siedzą obok siebie istną szachownicą. Co ważniejsza, mieszanie się narodowości postępuje i postępować musi coraz bardziej. Dziś w Wiedniu i okolicy jest 300,000 Czechów, 30,000 Polaków. Ludność robotnicza ciągnie za zarobkiem w różne strony. Gospodarka naturalna trzyma człowieka przykutym do gleby i daje jednolite obszary ludnościowe; wraz z cywilizacyą idzie — koczownictwo. Każdy zaś, czy życie całe spędza na jednem miejscu, czy zmienia bezustanku miejsce pobytu, zachowuje i niesie ze sobą swą narodowość. Z tego wynika, że narodowość nowożytna jest, a przynajmniej może być czemś oderwanem od gleby, niezależnem od terytoryum. Państwo, jako przymusowa organizacya gospodarstwa i obrony, nie da się pomyśleć bez władzy nad określonem terytoryum; narodowość, jako system potrzeb uczuciowych i umysłowych, jako wspólność kulturalna, nie potrzebuje dla osiągnięcia swych celów panować wyłącznie nad pewnem terytoryum i być w jego granicach zamkniętą; przeciwnie, może to jej celom szkodzić. Na tem to Rudolf Springer buduje swą oryginalną teoryę narodowości, jako związku osobowego, nie zaś terytoryalnego. Narodowości austryackie, podług niego, powinny koniecznie otrzymać autonomię i tworzyć federacyę, powinny koniecznie posiadać w swoim zakresie część władzy państwowej nad jednostkami, stanowić, ograniczone zapewne, państwa w państwie. Lecz narodowości powinny przedewszystkiem być ukonstytuowane w tym celu przez prawo konstytucyjne, jako stowarzyszenia współrodaków, nieograniczone do żadnego terytoryum, lecz uprawnione do rozciągania się na całe państwo.

Oczywistą jest rzeczą, że myśl tę nasunęła Springerowi organizacya stosunków wyznaniowych w Austryi. Niegdyś, mówi on, kościół i państwo wdzierały się nawzajem w swoje atrybucye, kościół chciał być panem władzy państwowej, państwo — mieć sługę w kościele; to też panować musiała zasada terytoryalności wyznania: *cujus regio ejus religio*. Dziś, w państwie nowożytnem, kościół sprowadzony został do swych granic, lecz w tych granicach nietylko nie jest krępowany przez państwo, nietylko posiada samorząd wewnętrzny, korzysta z opieki i pomocy państwowej, np. w zbieraniu opłat kościelnych, ale wprost uczestniczy we władzy i funkcyach państwa, prowadząc np. akty stanu cywilnego lub naukę religii w szkołach rządowych. To umożliwiło zgodne istnienie obok siebie i na przestrzeni całego państwa kilku wyznań i kościołów. Wobec państwa mają one wszystkie (o ile są uznane) formę stowarzyszeń, korporacyj, do których wstępuje się i z których występuje się dobrowolnie, lecz które w swoim zakresie i za pomocą swoich praw i władz rządzą swoimi członkami. W podobny sposób mają być ukonstytuowane narodowości; jak — zobaczymy to szczegółowiej w następnym artykule. Mimo głębokich różnic, jakie zachodzą co do treści życiowej między religią a narodowością i czynią je do pewnego stopnia niewspółmiernemi, faktem jest, że narodowość dziś po części gra taką rolę, jak dawniej religia. Narodowości walczą ze sobą o państwo w celu zrobienia z niego swego narzędzia, chcą przeprowadzić zasadę: *cujus regio, illius lingua.* Trzeba dać każdej narodowości samorząd wewnętrzny i odpowiednią ilość atrybucyj państwowych na przestrzeni całego państwa, a wszystkie będą mogły żyć zgodnie obok siebie w państwie jednem i silnem.

K. Radosławski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nareszcie d. 13 b. m., w nocy na 14-y, podpisano w Waszyngtonie 3 protokóły pokoju między Wenezuelą a Niemcami, Anglią i Włochami. Najważniejszy układ z Niemcami tak się przedstawia: Wenezuela płaci ratami do 15 lipca r. b. 1, 718, 815. 67 -— co za dokładność! — boliwaresów. Inne pretensye, z wyjątkiem dotyczących pożyczki z r. 1896, oznaczy komisya mieszana w Caracasie, złożona z Niemca i z Wenezuelczyka najpóźniej d. 1 maja r. b. W razie nieporozumienia Roosevelt wskaże super-arbitra. Na zaspokojenie ostatecznego długu Wenezuela oddaje 30% ceł z P. Cabello i La Guayra i co miesiąc przekazywać je będzie przedstawicielowi Banku angielskiego w Caracasie. W razie niedotrzymania umowy zarząd ceł obejmą celnicy belgijscy. Wszelkie spory przy podziale i wypłacie ceł rozstrzyga trybunał w Hadze. Wenezuela ureguluje podstawy pożyczki z r. 1896. Niemcy zwracają pozabierane statki— bez pretensyi — za „przechowanie"! Wenezuela zrzeka się pretensyi za zniszczenie. Blokadę wszystkie państwa bezzwłocznie znoszą i przywracają stosunki dyplomatyczne.

Zapisać tu potrzeba śmiałe wystąpienie posła Głębockiego w sejmie rzeszy przeciwko mowie malborskiej. Poseł nie dał się nastraszyć prezydentowi i ostatecznie powiedział co chciał, piętnując pobudzanie do nienawiści, i walkę prowadzoną bronią wykrętów i rozmyślnej przesady z młodzieżą gimnazyalną. Dostało się i p. Bülowowi. Rząd wytoczył nowy proces gimnazyastom toruńskim.

W Wiedniu komisya Izby reprezentantów d. 11 b. m. rady państwa przyjęła projekt prawa o zaciągu wojskowym. Izba odesłała do komisyi projekt, ograniczający swobodę prasy, uchwaliła konwersyę renty.

W Peszcie d. 17 b. m., Fejerwary, opędzając się nieprzejednanym, jednemu z nich zarzucił kłamstwo. Po burzy odwołał słowo wyrzeczone.

P. Piniński ustępuje z namiestnictwa; opinia obsadza już je hr. Wodzickim, Abrahamowiczem lub Jędrzejewiczem.

W Anglii parlament zagajony d. 17 b. m. Stan zdrowia króla zaczyna znowu budzić obawy.

Porta trzyma wojsko pod bronią i cichaczem ciągle je dyslokuje, tworzy nowe pułki, zbroi się i przygotowuje na powitanie ruchów wiosennych w Macedonii. Nie uspakaja jej, i słusznie, wstrzymanie mobilizacyi dwóch dywizyj bulgarskich, ani zamknięcie głównego i zamykanie pomocniczych komitetów narodowych. W Trypolitanii też stara się być czujną i przysłała nowego walego, bardzo podobno energicznego, Husseina Husniego. Nigdzie nie ma to upadające państwo spokoju. W Jemenie zbuntowali się Arabowie, a za Jemenem, od Adenu, Anglicy naciskają Portę pretensyami o granice. Prawdopodobnie i powstanie je-

---

ko posłyszał, że go wypędzą, zaraz ozdrowiał, dla niego strach, to najlepszy doktór, najskuteczniejsze lekarstwo.

* * *

Słońce zaszło. Siwe woły spoczęły w stajni u żłobu i żuły spożyte ziarno, pług stał pod szopą między innymi pługami, a w wilgotnym kącie parobczyńskiej izby na barłogu leżały martwe zwłoki Bartłomieja Zdyba.

Śmierć nie lęka się niczyjej groźby.

GRAJEK.

Chodził po podwórzach, brząkał w struny skrzypek i śpiewał.

Służące wypędzały go jak psa, bo zakłócał spokój publiczny... wówczas on powracał na ulicę, stawał naprzeciw okien, brząkał w struny skrzypek i śpiewał jeszcze głośniej... tak głośno, tak fałszywie, tak jakoś straszno, że psy wyć zaczynały, a ludzie przestawali rozumieć, co ten głos miał za znaczenie.

Całem jego ciałem trzęsła febra, ręce latały w prawo, głowa w lewo; nogi miał krzywe, kabłąkowate, liczył sobie lat dwanaście i miał na imię Michałek.

Przewiązaną przez plecy, nosił na sznurku torbę płócienną, napełniał ją odpadkami, zbieranemi na śmietnikach, kawałkami suchego chleba i przeróżnemi szmatami.

Głos Michałka rozlegał się w osadzie od rana do nocy, w miarę jak się wieczór zbliżał, stawał się przeraźliwszym, straszniejszym.

Pewnego dnia pisałem przy biurku, zapomniawszy o świecie, gdy tuż nad uchem mojem rozległ się ten dziki śpiew.

Położyłem pióro i patrzyłem bezmyślnie na śpiewaka, na jego łachmany, torbę z odpadkami, zbieranymi na śmietnikach, krzywe nogi, bladą, zabrudzoną twarz i wątłe ciało. Krzyczał coraz głośniej, coraz prędzej wyrzucał z ust niewyraźne słowa pieśni, trząsł się, głowa latała mu, jak na sprężynie.

Już chciałem zawołać służącej, by usunęła z pod okna krzykacza, gdy spostrzegłem, że na jego twarzy błyszczy się coś tęczowemi barwy.

— Co to jest?.. nadprzyrodzone zjawisko, czy złudzenie optyczne... Nie, te dwa opalowe promienie... to rzeczywistość... wszakże je widzę wyraźnie na licu nędzarza...

Zachodzące słońce oblewało złotem wychudłą i drobną postać, uwydatniając całą jej ochydę, a spotkawszy na twarzy dwie wielkie łzy, przejrzało się w nich, siejąc tęczowe blaski, które mnie na chwilę olśniły.

— Chodź tu mały! — zawołałem.

Podpełzał do mnie na swych krzywych nogach.

— Czego ty płaczesz?

— Bo mi nikt nic dać nie chce, a my tylko z tego żyjemy, co ja zarobię.

— A ileż was jest?

— Matka niewidoma, ja i chory, młodszy brat.

— A ojca masz?

— Mam matkę niewidomą i chorego brata.

— Gdzież ojciec?

— Matka niewidoma mieszka w komórce pod cegielnią... ani na nas koszuli, ani ubrania...

Zrozumiałem, że odpowiedzieć nie chce.

— A co jest bratu?

— Głowa go boli, zlała mu się, bo go wszy jedzą, a matka niewidoma nie może go wyiskać... I mnie jedzą... a koszuli na nas niema...

To mówiąc szlochał, trząsł się i chwiał na nogach.

— I z tego tylko żyjemy, co ja zarobię... a nikt mi nic dać nie chce, prócz tych skórek chleba...

Tu wyrzucał zapleśniałe kromki.

— ...A matkę mam niewidomą i chorego brata... a na mnie ciężko... za ciężko... bo nikt mi nic dać nie chce... choć po całych dniach śpiewam tak, że już i tchu złapać nie mogę.

Rzuciłem mu pieniądz biały, a zatrzasnąwszy okno zgrzytnąłem.

meńskie weszło w stosunki ze złotem Banku londyńskiego. Pracuje się dla przyszłości, w której morze Czerwone musi być wewnętrznem morzem angielskiem.

Bu Hamara żyje i gotuje się do nowej walki. Zwycięztwo sułtana jest już niewątpliwe. Mocarstwa gryzą się jeszcze lub wzajemnie pilnują i dzięki temu sułtanat jeszcze stoi. Niewątpliwie Anglia porozumiewa się z Francyą przeciwko Hiszpanii w Marokku.

Rouvier przeprowadził opodatkowanie gorzelni domowych i pozostał w rządzie. Nacyonaliści z procesu Humbertów lepią gałki i obrzucają niemi ministrów w Izbie. D. 13 b. m. Binder strzelał takim pociskiem do Valle'ego, ministra sprawiedliwości. W senacie gen. Billot i Mercier przemawiali przeciw służbie 2-letniej. Senat odrzucił wniosek Merciera, aby minister wojny mógł powoływać na rok trzeci. Loubet zamianował trzech biskupów bez odwoływania się do Rzymu.

Włosi uwięzili sułtana w Obi, na pograniczu krainy Somalów. Rząd złożył sejmowi projekt reformy sądowej.

Poważne rozruchy robotnicze w Kadyksie od d. 10 b. m. trwały jeszcze 17-go.

W Belgii po niesłychanym oporze socyalistów rząd przeprowadził przez Izbę reprezentantów podwyższenie akcyzy od spirytusu, a zupełne uwolnienie kawy od cła: opieka nad narodem. Sąd w Brukselli skazał Rubina, sprawcę zamachu na—powóz orszaku króla Leopolda, na dożywotnie więzienie.

W Sofii postawiono przed sądem dwu ministrów gabinetu Radosławowa, oskarżonych o nadużycia. Sprawa macedońska w artykule wstępnym.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Francyi.

—•—

Paryż, 15 lutego.

Rozczulanie się burżuazyi nad nędzą w Bretanii.—Zarobki rybaków bretońskich. — Ich ciemnota. — Rozmyślne ukrywanie właściwych przyczyn nędzy. — Wyzysk fabrykantów konserw. — Trust handlarzy przynęty dla sardynek, t. zw. *rogue*. — Środki zaradcze dla zapobieżenia nędzy.

Ucichły nareszcie we wstecznych pismach żałosne, pełne hipokryzyi jęki nad nędzą Bretończyków, przestano bawić się i tańczyć „cake-walk“ na dochód mrących z głodu rybaków bretońskich, zamilkli naiwni, bezmyślni, czy też obłudni pismacy, co całą niedolę ludu bretońskiego kładli na karb sardynek.

Odkrycie w Bretanii nędzy, która trwa od dawna i bezustannie się wzmaga, rozczuliło tkliwe serca bogaczy i składki posypały się obficie. Niezwłocznie też za namową i pod przewodnictwem deputowanych delegaci owej stotysięcznej masy nędzarzy bretońskich pospieszyli do Paryża z wyrażeniem swej wdzięczności prezydentowi, ministrom, kilku redakcyom, a nawet Sarze Bernhardt. Wizytami temi chcieli złożyć dowód poddania się swemu losowi, pokory i braku zawiści, jakby zapomnienia, że daleko jeszcze do zebrania trzech milionów franków — sumy niezbędnej dla rzeczywistej pomocy ich braciom i siostrom.

A tymczasem głód i nędza trwa dalej nietylko w Bretanii, lecz na wszystkich niemal wybrzeżach Francyi, choć długi u piekarzy bretońskich zapłaciły ze składek publicznych, szukające reklamy dzienniki *Matin* i *Français*, choć rząd wyasygnował 500,000 fr., a prywatni filantropi złożyli drugie tyle. Przyczyna tkwi bowiem głębiej, niż w strajku... sardynek. Niezwykle skąpy ich połów w tym roku był kroplą do przepełnionej czary — czekała Bretończyków nie powolna, lecz gwałtowna niemal śmierć głodowa. I to właśnie strachem, czy współczuciem przejęło zamożne warstwy Bretanii, a następnie i całej Francyi; zwłaszcza że rybacy bretońscy to nie burzący się wciąż górnicy z Carmaux lub Montreau-les-Mines, to nie bezreligijni robotnicy paryscy, ale zawsze spokojni, religijni, ulegli konserwatyści.

Dotychczas rybacy bretońscy, a jest ich 20,000, zarabiali rocznie najwyżej 800 do 700 fr., a żony ich i córki, zatrudniane w fabrykach konserw, mogły zarabiać 200 fr., przeciętny zatem dochód rodziny wynosił 900 fr., które starczyć miały na wyżywienie pięciu lub sześciu nieraz osób. W roku bieżącym z powodu wywędrowania sardynek z pobrzeży Bretanii, dochód zmniejszył się o $^2/_3$, spadł do 300 fr. rocznie i niżej. Zbytecznem chyba mówić, jak straszliwa nędza musi być udziałem ludzi, rozporządzających tak małymi środkami, nieposiadających zwykle ani gruntu, ani zaoszczędzonego grosza.

Zacofany, nieuświadomiony Bretończyk, trzymany w ciemnocie przez wszechpotężny kler, nie zastanawiał się nad przyczynami swej niedoli, nad środkami jej zaradzenia; wszelki postęp, nawet dotyczący techniki rybołówstwa i gospodarki rybnej, traktował wrogo, a natomiast składał ofiarę dla przebłagania Boga, który — według słów księży — zsyłał karę na Francyę za ograniczenie liczby klasztorów i kongregacyj.

Zamiast wykazać istotne przyczyny wzrastającej wciąż nędzy francuskiej ludności nadmorskiej, wszystkie niemal pisma siliły się wyjaśnić, dlaczego sardynki w tym roku, jak niegdyś, przed laty dwunastu, opuściły niespodziewanie brzegi Bretanii. Nawet taki Rochefort chciał się zabawić w zoologa i dowodził wbrew zdaniu przyrodników, że jedynym winowajcą jest obecny rząd, który pozwolił ludności zbierać na nawóz pewien gatunek mchu morskiego *goëmon*, służący sardynkom jakoby za pożywienie.

Poważny socyolog, nawet publicysta sumienny w chwilach podobnego kryzysu, nie powinien zajmować się hipotezami, czy wybuch wulkanu na Martynice lub Golfstroem mógł wpłynąć na obecny brak sardynek, czy wzrastający wciąż ruch olbrzymich okrętów ich nie wypłoszył, itp. Kwestyę emigracyi sardynek, badanie ich zwyczajów, jako też najpomyślniejszych dla ich rozwoju warunków zostawić należy specyalistom ichtyologom, zoologom i oceanografom, a ogół, zwłaszcza najbliżej zainteresowanych rybaków, uświadomić o nieracyonalnej, rabunkowej gospodarce rybnej, jako też o środkach zmniejszenia nędzy bez uciekania się do filantropii warstw uprzywilejowanych.

Podobnie jak w innych gałęziach przemysłu, tak i w rybołówstwie z bezmyślnym szałem eksploatowano połów sardynek. W nadbrzeżnych miastach samej Bretanii powstało 270 fabryk, przyrządzających z nich konserwy, których produkcya roczna przewyższała nieraz 33 miliony kilogramów, a prócz tego ze świeżym towarem rozsyłano setki tysięcy koszy. Przeszło 4,000 łodzi żaglowych i statków trudni się połowem sardynek w ciągu sezonu.

Zdawałoby się, że przy tak kwitnącym przemyśle i dola robotników będzie nieco lżejszą, tymczasem fabrykanci, korzystając z ciemnoty i nieuświadomienia swych pracowników, porozumiewali się pomiędzy sobą w celu obniżenia zarówno ceny ryb, tj. zarobku mężczyzn, jak i płacy w fabrykach konserw, tj. zarobku kobiet. Dawniej płacili za 1,000 świeżo złowionych sardynek 30 do 50, a w najgorszym razie 20 fr., obecnie zaś cena spadła do 10, 5, 3, a nawet $1\frac{1}{2}$ fr., bywały wypadki, że kupowano nawet 1,000 sztuk za pół franka. Ponieważ towar musi być sprzedany natychmiast po połowie, po kilku bowiem godzinach sardynki marnieją i mogą być jedynie użyte jako nawóz, więc rybacy zmuszeni są przyjąć ofiarowaną im cenę, czasem niepokrywającą kosztów, lub też rzucić je napowrót do morza. Jedna połowa sumy osiągniętej ze sprzedaży idzie do podziału między pięciu lub sześciu rybaków, tworzących załogę łodzi, po odtrąceniu wydatków na przynętę, druga zaś stanowi dochód właściciela łodzi i sieci, kierującego zwykle połowem. Skoro się weźmie pod uwagę, że jeden połów przynosi w najszczęśliwszym razie 5 do 6 tysięcy sardynek, to łatwo zrozumieć, że tylko sprzedając co najmniej po 15 fr. za tysiąc, rybak może nie przymierać głodem; do ceny tej jednak rzadko dopuszczają agenci i agentki, wysłani przez fabrykantów na spotkanie przypływających statków.

Niech też nikt nie myśli, ażeby koszta połowu sardynek zmniejszyły się obecnie, przeciwnie, wzrastają one z każdym rokiem. Nietylko łodzie i statki muszą być coraz lepsze i kosztowniejsze, nietylko sieci do połowu mocniejsze i częściej zmieniane z przyczyny zwiększonej żeglugi dużych okrętów i niszczenia ich przez połów innych ryb, ale co najważniejsze, cena przynęty na sardynki, niezbędnej dla połowu, wzrasta niesłychanie.

Wiadomo, że chcąc łowić sardynki, rybacy zarzucają z tyłu łodzi olbrzymie sieci od 20 do 40 metrów długości a 4 do 10 szerokości, właściciel zaś ich rzuca dokoła łodzi, t. zw. *rogue*, która swym cuchnącym zapachem zwabia łakome sardynki i więzi je w sieci. Przynętą ową jest ikra sztokfisza, pochodząca z Norwegii, umyślnie przyrządzana w Bergen. Charakterystycznem jest, że sardynki nie wabią się ani na ikrę amerykańską, ani na irlandzką, ani też na sztucznie wytwarzaną. Tymczasem cena norweskiej wzrasta niepomiernie, bo gdy w 1872 r. beczułka jej kosztowała 4 fr., w końcu 1900 r. cena podniosła się do 30 fr., w 1901 — do 60 fr., a w lipcu r. z. doszła aż do 130 fr., z tej przyczyny, że kupcy, handlujący ikrą, utworzyli trust i zakupili cały towar w Norwegii. To podskoczenie ceny przynęty było jednym z ważniejszych powodów nędzy rybaków bretońskich, gdyż każda łódź zużywa rocznie 15 beczek ikry, a tem samem ponosić musi straty co najmniej 1,500 fr. Bezlitośni kupcy ikry, pomimo głodowych jęków rybaków, pomimo nader skąpego połowu sardynek w roku zeszłym, nie chcieli zniżyć ceny, choć zarabiali co najmniej pięciokrotnie, chyba że rybak należał do t. zw. żółtych związków zawodowych, lub przyniósł świadectwo od księdza— w takim razie otrzymywał 7 beczek na kredyt lub też zniżano dlań cenę jednej beczki do 75 fr.

Właściwą zatem przyczyną dzisiejszej nędzy rodzin bretońskich jest z jednej strony niedołężna i nieracyonalna gospodarka rybna, z drugiej niesłychany wyzysk ze strony fabrykantów konserw oraz zsyndykowanych kupców norweskiej ikry sztokfisza. Zwracamy głównie uwagę na te przyczyny, gdyż one to właśnie mogłyby być w części przynajmniej usunięte przy energii, dobrej woli i poświęceniu ludzi szerszych poglądów, czego zresztą w ostatnich czasach mamy we Francyi niemało dowodów.

Obecnie jedni domagają się zaprowadzenia racyonalnego rybołówstwa, umiejętnego korzystania ze skarbów fauny morskiej, założenia na wzór amerykańskich i norweskich zakładów sztucznej hodowli zarybka. Znany publicysta, niegdyś skrajny radykał, Emil Gautier, bardzo słusznie nawołuje do założenia *pisci-facture* i oblicza, że urządzenie zakładu, któryby hodował od 150 do 200 milionów jaj rybich, nie kosztowałoby więcej nad 25 do 50 tysięcy fr.,

a utrzymanie rocznie od 5 do 10 tysięcy franków.

Inni żądają oddania w monopol władzom miejscowym lub rządowi sprzedaży ikry norweskiej, oznaczenia minimalnej taksy na sardyki i inne ryby, oraz założenie dostatecznej ilości oberż nadmorskich, gdzie znużeni rybacy mogliby znaleść przytułek, nie zatruwając się u szynkarzy przeróżnymi fabrykatami alkoholu.

Inni wreszcie nawołują rybaków bretońskich, by nie oglądając się na niczyją pomoc i opiekę, własnemi siłami zreorganizowali warunki swej pracy przez założenie współdzielczego stowarzyszenia „Sardinerie coopérative,“ któreby miało pewnych konsumentów w innych kooperatywach, — a obok tego ustanowili kasę zapomóg i przyłączyli się do ogólnej federacyi związków zawodowych.

Wszystkie te usiłowania okażą się jednak płonne, a rady bezskuteczne, dopóki Bretończycy podlegać będą władzy wszechpotężnego kleru, utrzymującego w nich ciemnotę i poddanie się swemu losowi.

Dr. Józef Zieliński.

Praca robotnic.

W Europie Zachodniej, a szczególniej w Niemczech i Szwajcaryi, stoi obecnie na porządku dziennym kwestya skrócenia dnia roboczego w fabrykach i warsztatach do godzin 10, jeśli nie dla wszystkich zatrudnionych, to przynajmniej dla kobiet.

Zanim zanotujemy fakty, świadczące o tej tendencyi, musimy przedewszystkiem poznać obecny stan prawodawstwa na tym punkcie. Otóż, jeśli idzie o pewne ograniczenia dnia roboczego dla robotników *dorosłych* bez względu na płeć, to dotychczas wprowadziły je do swych prawodawstw z państw europejskich: Austrya i Szwajcarya, gdzie *maximum* oznaczone jest na 11 godzin, przyczem w Szwajcaryi w sobotę praca musi się kończyć o godzinę wcześniej, czyli trwać tylko 10 godzin; następnie Francya, gdzie dzień roboczy, dzięki Millerandowi, skrócony został w r. 1900 do 11 godzin, w r. 1902 — do $10^1/_2$, a w 1904 r. spadnie do 10 godzin, ale tylko dla robotników-mężczyzn w tych fabrykach, gdzie razem z nimi pracują i kobiety lub dzieci; wreszcie Rosya: tu prawo z d. 2 czerwca 1897 oznaczyło *maximum* pracy dziennej dla robotników obojga płci po skończeniu 17 lat życia na $11^1/_2$ godzin. We wszystkich innych państwach, nie wykluczając np. i Anglii, dzień roboczy mężczyzn dorosłych nie jest wcale określony przez prawo, choć oczywiście w wielu wypadkach dzięki wpływom związków zawodowych może być faktycznie znacznie krótszy, niż w państwach, ograniczających maximum czasu pracy. Natomiast co do dzieci i młodzieży (do lat 16 lub 18), to niema dziś już ani jednego państwa w Europie, z wyjątkiem półwyspu Bałkańskiego, gdzieby nie ograniczano ich pracy w fabrykach i nie zabraniano im pracy w nocy; a co do kobiet dorosłych, to również znacznie większa ilość państw ogranicza wolność ich wyzyskiwania, niż to widzieliśmy, gdy szło o mężczyzn dorosłych. Tylko Luxemburg pozostawia zupełną swobodę pracy kobietom już po skończeniu lat 16, Dania, Szwecya i Norwegia — od lat 18, Belgia — od 21 lat życia; te same państwa, także i Hiszpania, nie zakazują kobietom w wyżej oznaczonym wieku nawet pracy nocnej, a we Włoszech zakaz taki wejdzie w życie dopiero w r. 1907. Rosya, Austrya i Szwajcarya, jakeśmy już wspominali, nie robią różnicy między dorosłymi robotnikami a robotnicami; opiekując się pierwszymi, opiekują się tembardziej płcią słabszą, której czas roboczy wynosi w pierwszem z tych państw godzin $11^1/_2$, w drugiem 11 na dobę, w trzeciem — 11 przez cały tydzień, a 10 w sobotę. Francya ogranicza do $10^1/_2$, względnie 10 godzin, dzień roboczy tylko części mężczyzn, lecz ograniczenie to stosuje się do wszystkich kobiet bez wyjątku. Inne zaś państwa zajmują stanowisko pośrednie: nie wtrącają się do tego, jak długo pracują mężczyzni, lecz ograniczają dzień roboczy kobiet, nawet dorosłych. Między niemi pierwsze miejsce zajmuje Wielka Brytania, gdzie młodzi robotnicy do lat 18 i kobiety wszelkiego wieku, nie mogą pracować już teraz dłużej nad 10 godzin dziennie, a w sobotę nawet tylko $5^1/_2$ godzin; następnie idą: cesarstwo Niemieckie, gdzie dzień roboczy kobiet starszych nad lat 16 wynosi 11 godzin maximum, a w sobotę — 10; Hiszpania i Holandya, które mają maksymalny dzień roboczy dla kobiet 11-godzinny, nie wyłączając soboty, wreszcie Włochy — z 12-godzinnym dniem roboczym dla kobiet od lat 15.

Otóż obecnie, w Szwajcaryi i w Niemczech, krajach, które znacznie wyprzedziły większość państw europejskich pod względem ograniczenia czasu pracy kobiet, powstaje silny ruch w kierunku nowego ograniczenia. Idzie o jeden krok naprzód— o zmuszenie fabrykantów do wyrzeczenia się jeszcze jednej godziny pracy kobiet dorosłych, tak aby mogły one wracać do domu po 10 godzinach pobytu w fabryce, a w sobotę — nawet po 9 tylko. W Szwajcaryi wzięło się do tej sprawy autonomiczne prawodawstwo kantonalne. Opinia publiczna zwróciła uwagę na wielki wyzysk kobiecej siły roboczej w zakładach konfekcyi damskiej, w kawiarniach i restauracyach, oraz w przemyśle domowym, a ponieważ gałęzie te nie były objęte prawodawstwem związkowem (z r. 1877), które stosowało się jedynie do fabryk, więc kantony — pierwszy Bazylea, miasto już w r. 1884 — w zakresie swej autonomii zaczęły wyzysk ten ograniczać. Z początku powtarzano przepisy prawodawstwa związkowego: 11 godzin najwyżej w dni zwykłe, 10 — w sobotę; lecz w r. 1894 pierwszy Zurych poszedł dalej i oznaczył 10 godzin codzień, 9 — w sobotę. Dziś już 12 najważniejszych kantonów weszło na tę drogę; tylko Uri, Schwyz, Unterwalden, Zug, Szafuza, Appenzel, Bazylea-wieś, Thurgau, Graubünden, Wallis i Tessin nic jeszcze w tym kierunku nie uczyniły. Wszędzie gdzieindziej wszystkie pracownie, zatrudniające choćby jedną tylko robotnicę, a nie objęte prawodawstwem związkowem, podpadają pod prawa kantonalne, które przedewszystkiem zakazują przyjmowania do pracy dziewcząt poniżej lat 14; na kelnerki do kawiarni i restauracyj nie wolno nawet przyjmować do lat 18, a cztery kantony zakazują wogóle używać kobiet do pracy zbyt ciężkiej, niezdrowej lub moralność na szwank narażającej. Nie wolno zatrudniać kobiet przez 4 do 6 tygodni po połogu, a w dwóch kantonach (Bazylea i Glarus) nawet na 2 tygodnie przed połogiem. Praca w święta i w nocy jest zakazana; co do kelnerek i sklepowych, to mogą one pracować w święta, ale większość kantonów zapewnia im za to przynajmniej kilka godzin odpoczynku w ciągu tygodnia, a kelnerki mogą też być zatrudniane w godzinach nocnych, ale muszą mieć zawsze 7, 8, a w Neufchâtelu nawet 9 godzin wypoczynku. Wreszcie *maximum* pracy na dobę dla wszystkich kobiet pracujących, podpadających pod prawodawstwo kantonalne, oznaczone jest w większości kantonów jeszcze na 11 godzin (10 w sobotę), ale w Genewskim i w Waadt na 10 godzin przez cały tydzień, w Zurychskim na 10 godzin, a w sobotę 9, w Aargau — tak samo, tylko że istnieje jeszcze przepis dodatkowy, że kobiety zamężne muszą być w sobotę wypuszczane do domu najpóźniej o 4-ej po południu, aby mogły załatwić się z gospodarstwem. Jednogodzinna przerwa obiadowa przedłuża się o pół godziny dla kobiet, prowadzących swoje gospodarstwo. Oczywiście władze mają prawo pozwalać na pewne przedłużenie dnia roboczego w razie koniecznej potrzeby, ale jest to bardzo ograniczone, te godziny nadprogramowe muszą być opłacane o 25% drożej, i wreszcie w pięciu kantonach nie wolno pod karą grzywny lub aresztu dawać robotnicom zajęcia do domu po odbyciu prawem przepisanego *maximum* pracy.

Całe to prawodawstwo kantonalne nie rozciąga się na rolnictwo; w trzech kantonach wyjęte są również z pod niego biura prywatne.

Rzecz ciekawa, że w wielu wypadkach sami więksi przemysłowcy agitują za skróceniem dnia roboczego dla robotnic. Tak się dzieje np. w kantonie Berneńskim, gdzie izba handlowo-przemysłowa, będąca związkiem przedsiebiorców, wystąpiła niedawno do rządu z memoryałem, proponującym ograniczenie dnia roboczego dla kobiet do 10 godzin, a w soboty i wilie świąt — 9-iu, dla dziewcząt zaś poniżej 18 roku życia — o godzinę jeszcze mniej, przyczem takim dziewczętom pod żadnym pozorem, nawet wyjątkowo, nie należy pracować dłużej, ani zabierać roboty do domu.

Otóż te tendencye prawodawstwa kantonalnego oddziaływają także na opinię publiczną w kwestyi prawodawstwa związkowego, dotyczącego fabryk i warsztatów przemysłowych. Coraz częściej daje się słyszeć zdanie, że prawodawstwo związkowe jest na tym punkcie przestarzałe i że dzień roboczy dla wszystkich, a już w każdym razie dla robotnic, należy koniecznie skrócić do 10 godzin, względnie— w wilie świąt — 9. Zamiar ten spotyka się też z coraz mniejszym oporem, ponieważ sprawozdania inspektorów fabrycznych wykazują, że ilość zakładów przemysłowych, w których dziś już pracuje się krócej, niż 11 godzin, ciągle wzrasta i dosięgła już obecnie mniej więcej $^1/_3$ wszystkich zakładów. To samo dzieje się i w innych krajach, np. w Austryi w r. 1900 na 6,312 zakładów, zwiedzonych przez inspektorów, przeszło połowa miała dzień roboczy krótszy od 11 godzin, $^1/_4$ — nie dłuższy nad 10 godzin. W Danii na ogólną ilość 3,518 zakładów 91% ma już dzień roboczy krótszy od $10\frac{1}{2}$ godzin, połowa — nawet krótszy od 10 godzin. Tendencyę do skrócenia dnia roboczego silnie popiera w Szwajcaryi istniejące tam od dwóch lat „Międzynarodowe biuro pracy,“ w którem już dzisiaj mają swych przedstawicieli prawie wszystkie rządy Europy zachodniej. W wydanym z tego powodu memoryale biuro to powołuje się, między innemi, i na rozporządzenie rosyjskiego ministeryum skarbu z d. 8 lutego 1902 r., które stwierdza, że 10-godzinny dzień roboczy, wprowadzony w rządowych rafineryach i składach monopolowych, dał wszędzie dobre rezultaty, i upoważnia władze do wprowadzania nawet 9-godzinnego dnia.

W Niemczech sprawa skrócenia dnia roboczego dla kobiet (ponieważ czas pracy mężczyzn dorosłych nie jest ograniczony przez prawo) postąpiła już o tyle, że kanclerz Rzeszy rozesłał do inspektorów fabrycznych urzędowe zapytanie, jakby zapatrywali się oni i strony interesowane na skrócenie dnia roboczego do godzin 10? *Bull. der internat. Arbeitsamtes* streszcza odpowiedzi inspektorów, którzy wszyscy zapatrują się przychylnie na projektowaną reformę. Stwierdzają oni, że już dziś w bardzo znacznej części najpoważniejszych, najprodukcyjniejszych zakładów przemysłowych, praca nie trwa dłużej nad 10 godzin; jednakże w wielu innych trafia się jeszcze dzień roboczy 11, 12, a nawet (w ce-

gielniach szczególniej) 13-godzinny, co wskazuje, że reforma jest potrzebna. Na dowód, że skrócenie czasu pracy nie zmniejsza produkcyjności, przytoczony zostało następujący ciekawy fakt: Fabryka pluszu w Saargemünd, w Lotaryngii, chciała zmniejszyć produkcyę i w tym celu zawiesiła pracę zupełnie w soboty; jakież było zdumienie właściciela, gdy okazało się, że w ciągu pięciu dni ta sama ilość robotników wytwarza tyleż, co poprzednio w ciągu dni sześciu.

W Niemczech sprawę skrócenia dnia roboczego dla kobiet energicznie wzięło w ręce „Towarzystwo reformy społecznej,“ będące sekcyą wyżej wspomnianego międzynarodowego biura pracy. Na pierwszym jego zjeździe, zeszłej jesieni w Kolonii pod prezydencyą b. ministra handlu pruskiego, barona Berlepscha, mieli o tej kwestyi referaty: sekretarz towarzystwa dr. Pieper i inspektorka fabryczna p. Helena Simon. Referaty te wyszły obecnie w druku. Prócz tego zaczętą kampanię prowadzi dalej organ towarzystwa *Die soziale Praxis*. Zwolennicy reformy żądają oznaczenia maximum pracy kobiet na 10 godzin w dnie zwykłe, 9 — w wilie świąt, w wilie świąt praca kobiet musiaby się kończyć nie później, niż o $4^1/_2$ godz. po południu. Argumentują oni w ten sposób: Mężczyzna, gdy wychodzi z fabryki, to praca jego dzienna jest zupełnie skończona; co najwyżej robi on coś w ogródku koło domu, jeśli go posiada, ale to jest robota dobrowolna, raczej rozrywka. Kobieta zaś, robotnica, wróciwszy do domu, ma jeszcze ciężkie, nieprzyjemne i niezdrowe zajęcie przed sobą: — robotę gospodarską, uprzątniecie mieszkania, przyrządzenie posiłku wieczornego, nakarmienie i położenie do snu mniejszych dzieci. Więc poczucie sprawiedliwości wymaga, aby kobiety były wypuszczane z fabryk wcześniej, niż mężczyźni — niechby przynajmniej o godzinę, z wyjątkiem soboty, kiedy porządki tygodniowe wymagają dłuższego czasu. Taka napozór niewielka reforma miałaby też ogromne znaczenie dla życia rodzinnego klasy robotniczej. Powracając do domu, robotnik zastawałby już wszystko w dobrym ładzie i porządku, przez co mniej by ciągnęło go do knajpy; matka byłaby dłużej z dziećmi i wywierałoby na nie wpływ lepszy. Co do kobiet niezamężnych, to i one faktycznie, mieszkając „po kątach,“ pomagają zawsze gospodyni w sprzątaniu, gotowaniu i zajmowaniu się dziatwą, więc i im się to skrócenie pracy należy, tembardziej, że będzie ono miało zbawienny wpływ na ich zdrowie i rozwój umysłowy, co też przyczyni się do podniesienia życia rodzinnego. Należałoby dodać jeszcze, że skrócenie pracy w soboty, tak aby popołudnie było wolne (jak w Anglii) umożliwia robienie zakupów, a przez to jest ważnym czynnikiem pomyślnego rozwiązania kwestyi odpoczynku niedzielnego dla pracowników handlowych.

Sądząc z powyższych objawów, należy się spodziewać, że wprowadzenie 10-godzinnego dnia roboczego dla kobiet w Niemczech i Szwajcaryi, a szczególniej w tej ostatniej, jest sprawą niewielu lat.

K. Krauz.

Wyższe wykształcenie kobiet.

Grudniowy numer nowojorskiego miesięcznika *The Popular Science Monthly* porusza w bardzo ciekawym artykule zawsze jeszcze aktualną kwestyę wyższego wykształcenia kobiet, która w całym cywilizowanym świecie zajmuje najszersze i najbardziej postępowe umysły. W artykule tym znajdujemy kilka myśli, zasługujących i u nas na bliższą uwagę.

Autor pyta przedewszystkiem, czy kobieta powinna otrzymywać systematyczne wykształcenie średnie i wyższe i odpowiada na pytanie twierdząco, wychodząc z tej rozumnej zasady, że tylko światła i wykształcona kobieta potrafi stworzyć prawdziwy *home* (ognisko domowe), ten najpiękniejszy wykwit kultury naszych czasów. Dobrą żoną, matką i panią domu może być jedynie i wyłącznie kobieta o wyższej kulturze umysłowej i moralnej; wyższe wykształcenie kobiety nie powinno przeto mieć na celu pracy zawodowej lub chlebodajnej, lecz przedewszystkiem kobietę jako taką, jej umysł i serce. Los narodu i państwa nietyle zależy od reform politycznych, ile od dobrego i rozumnego wychowania mężczyzny, a to dać mu może jedynie rozumna i wykształcona matka. Więc wyższego wykształcenia dla kobiety powinniśmy pragnąć przedewszystkiem dlatego, aby stworzyć jak najpiękniejsze i najbujniejsze życie rodzinne.

Drugie pytanie odnosi się do tego, czy kobieta ma otrzymać wyższe wykształcenie takie samo, jak mężczyzna, czyli też może inne. Na to autor odpowiada, że oczywiście takie samo, jeżeli nam idzie o rozwój umysłowy oraz uzdolnienie jej do rozumnego myślenia i dzielnego postępowania. Tylko metody powinny być nieco odmienne dlatego, że wrodzone zdolności i skłonności kobiety są inne, niż zdolności mężczyzny; nie gorsze i nie niższe, tylko poprostu inne. I tak jak różne metody należy stosować do różnych mężczyzn, zależnie od ich natury, tak samo innej dyscypliny umysłowej niż mężczyzna, potrzebuje kobieta. Autor odpiera zarzut, jakoby przypuszczenie kobiet do studyów uniwersyteckich miało obniżyć poziom tych studyów. Nic podobnego nie zauważono w tych uniwersytetach i wyższych zakładach, do których kobiety dopuszczano bez żadnych zastrzeżeń.

Ostatnie pytanie tyczy się tego, czy chłopcy i dziewczęta mają się uczyć razem, czyli też osobno. I na to daje autor odpowiedź twierdzącą, podkreślając bardzo wyraźnie, że przebywanie w jednych salach wykładowych lub laboratoryach nie pociąga za sobą żadnych następstw ujemnych, jakich się obawiali nieproszeni opiekunowie moralności. Przeciwnie, postawienie chłopców i dziewcząt na stopie koleżeństwa odejmuje różnym ich płciom ten zły urok, jaki posiada zawsze owoc zakazany. W towarzystwie kobiet-koleżanek obyczaje studentów łagodnieją i stają się coraz bardziej humanitarne w najszerszem tego słowa znaczeniu, kobiety zaś tracą w towarzystwie mężczyzn-kolegów zwykłą sobie bojaźliwość, a nabierają znajomości natury męzkiej, co w życiu późniejszem bywa im przydatne. Prawda, że wśród uczniów i uczenic tego samego zakładu zawierają się związki małżeńskie, ale czyż to co tak bardzo zdrożnego? a powtóre małżeństwa te są stosunkowo rzadkie i za regułę wcale służyć nie mogą.

Oto szereg myśli, rzuconych przez Davida Starr Jordana; zasługują one na bliższe rozważenie zarówno ze stanowiska teoretycznego, jak i praktycznego, ponieważ i u nas sprawa wyższego wykształcenia kobiety domaga się ostatecznie jakiegoś rozwiązania.

sz.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Jaki cel?

Tygodnik Ilustrowany dał, jako premium dla swych abonentów, chromolitograficzną odbitkę obrazu Pawliszaka „Książe Józef Poniatowski pod Raszynem.“ Pomijamy artystyczną wartość samego utworu, w którym książe Józef z nogami w elipsę zgiętemi, niby baletnik gotujący się do piruetu, wygląda dość śmiesznie; zapytamy tylko: jaki cel jest w mnożeniu takich malowanek? Żaden człowiek z gustem nie oprawi ich w ramy i nie zawiesi w swoim pokoju; do chat chłopskich, gdzieby najmniej raziły, one nie przyjdą; kto więc właściwie z nich korzysta? Pytanie to jest jeszcze bardziej uzasadnione okolicznością, że owe chromolitografie puszcza w świat dość często instytucya, która mianuje się u nas bazyliką sztuki, Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, oraz pismo, które stoi na czele wydawnictw obrazkowych, *Tygodnik Ilustrowany*. Jest to bezowocna strata nakładu. Dopóki technika chromolitografii nie udoskonali się o tyle, że będzie mogła wytwarzać przedmioty istotnie artystyczne, trzeba ją ograniczyć do kramów odpustowojarmarcznych i nie osłabiać nią niezbyt rozwiniętego u nas smaku estetycznego.

Zaraźliwy przykład.

Kiedy *Kuryer świąteczny* ogłosił, że stanie się organem salonu, elegancyi, mody, balów, wesel, zabaw itp., zdawało się, że ten wybuch pomysłowości w dzisiejszych czasach nie znajdzie już u nas powodzenia, a przynajmniej zostanie unikatem. Okazało się przeciwnie. *Kuryer świąteczny* bowiem ma podobno więcej czytelników, niż wszystkie pisma naukowe razem wzięte, a nadto, co jest jeszcze bardziej charakserystycznem, oddziałał on swym przykładem na prasę warszawską. „Poważne dzienniki,“ czy to zazdroszcząc mu powodzenia, czy to bezinteresownie naśladując mistrza, zaczęły coraz bardziej rozszerzać w swych kolumnach „kronikę towarzyską.“ Przoduje innym *Wiek*, który w jednym numerze zamieszcza po pareset wierszy doniesień o balach, ślubach, zabawach tanecznych, o całej tej pianie życia, której zbiorniki sięgają od parteru do drugiego piętra. Czy wobec tych dowodów można jeszcze cierpliwie słuchać zrzędzeń na zaśniedziałość i nieruchomość naszej prasy? Byle czem nie da się ona pchnąć naprzód, ale ktoś wskaże jej wyższe cele i dostarczy szlachetniejszych pobudek, wdziewa ona natychmiast siedmiomilowe buty i dogania najdalej posunięte szeregi postępu. Prosimy o dowód, czy jakikolwiek poważny organ zagraniczny wie o wszystkich zabawach swego kraju i czy umie objaśnić swoich czytelników, jakie trzeba włożyć spodnie przy tużurku lub jak powitać pannę? A my? My niedługo rozszerzymy tę wiedzę nawet w suterenach.

Zatwardziałość.

Ten sam smutny los jest udziałem trzech kategoryj istot żyjących na gruncie warszawskim, mianowicie: stróżów kamienicznych, koni dorożkarskich i konduktorów tramwajowych. Na ławie oskarżonych w tych sprawach zasiadają zatwardziali w swych grzechach społecznych właściciele kamienic i członkowie zarządu tramwajów miejskich. Dziś zajmiemy się tylko tymi ostatnimi. Konduktorzy tramwajowi pracują po pietnaście godzin na dobę. Przez całe owe pietnaście godzin służby nie wolno konduktorom pod karą pieniężną ani usiąść, ani nawet bodaj na chwilę przysiąść, chociażby cały wóz był zupełnie próżny, choćby nie było kogo obsługiwać. Jest to rozporządzenie wprost barbarzyńskie, obliczone chyba na to, aby ciężkie warunki pracy na mrozie, słocie lub upale jeszcze cięższymi uczynić. Kontroler ma prawo skazać konduktora siedzącego na pół rubla kary! Pietnaście godzin na nogach, jak rok długi, bez możności przyniesienia sobie ulgi w czasie jakiejś niedyspozycyi! To też konduktorzy tramwajowi podlegają chorobom, wynika-

jącym z ustawicznego stania, szczególniej w początkach swej uciążliwej służby. Zarząd przeczy wprawdzie istnieniu takich chorób, ale dało się stwierdzić, że blizko 50% służby tramwajowej zapada na choroby zawodowe.

Tymczasem zapobieżenie temu nie kosztowałoby ani zbyt wiele trudu, ani nawet pieniędzy, o które oczywiście zawsze przedewszystkiem chodzi. Ruchoma ławeczka, dająca się podnosić w chwilach mniejszego natłoku publiczności na platformach stojących, kosztowałaby według obliczenia fachowca, pół rubla. Ponieważ zaś w ruchu znajduje się dwieście wagonów, przeto za sto rubli możnaby je wszystkie zaopatrzyć w to niezbędne a tak humanitarne urządzenie. Sprawa ta była już poruszana dwa lata temu i ktoś z zarządu przyrzekł się tem nawet zająć, ale widocznie kwestya większej dywidendy pochłonęła tak uwagę żywiołów decydujących, że o przyniesieniu ulgi pracownikom nie można było pomyśleć. A jednak należy sprawę tę jak najrychlej załatwić. *s.*

Biura porad prawnych.

Na mocy orzeczenia warszawskiej izby sądowej z d. 1 lipca r. b. mają być zamknięte wszystkie istniejące w Warszawie biura porad prawnych w liczbie pięciu. Sprawą biur tych zajmowały się sfery sądownicze już od dłuższego czasu. W roku zeszłym na mocy rozporządzenia p. oberpolicmajstra zamknięte one zostały na czas krótki, wskutek jednak odwołania się adwokatów-właścicieli do warszawskiego sądu okręgowego decyzya została wstrzymana, i biura były czynne dalej. Ogólne zebranie tegoż sądu, które miało miejsce w jesieni, przyznało słuszność adwokatom, przeciwko czemu jednak założyła protest prokuratorya, odwołując się do izby sądowej, jako najwyższej w Królestwie Pol. instytucyi dyscyplinarnej względem adwokatury tutejszej.

Zamknięcie tego rodzaju instytucyj przyczyni się zapewne niemało do wzmocnienia stanowiska t. zw. pokątnych doradców, z którymi biura porad prawnych prowadziły zaciętą walkę, dając szerokim warstwom ludności poradę tanią, oraz podejmując się spraw mniejszych. Zapewne też warszawski sąd okręgowy, dla złagodzenia następstw zamknięcia biur, przystąpi do zorganizowania tanich i po części nawet bezpłatnych porad adwokackich przez otworzenie ogólnego biura porady prawnej w gmachu sądu, na wzór istniejących w wielu miejscowościach Cesarstwa, a z miast Królestwa — w Lublinie. *z.*

Słówko w kwestyi wycieczek po kraju.

W ostatnich czasach mamy do zanotowania bardzo pocieszający zwrot żywszego zainteresowania się sprawą poznania warunków życia naszego ogółu. Sprawą tą zajął się szczególniej *Tydzień* piotrkowski, zamieszczając w roku zeszłym bardzo ciekawy artykuł p. St. Skalskiego o oddziaływaniu Łodzi na życie i urabianie się pojęciowe, etyczne i zwyczajowe mieszkańców wsi okolicznych. Nr. 2 tego pisma z r. b. zawiera znowu artykulik dr. F. Konecznego, który przypomina swoje jeszcze w 1896 r. ogłoszone wezwanie do badań nad rzeczywistem życiem chłopa i pisania monografij socyologicznych miast i wsi. Za wzór prac takich dr. K. podaje prace dr. Franciszka Bujaka.

„Niegdyś tyle osób zbierało pieśni ludowe — kończy p. K. — a nie brak jeszcze dzisiaj takich zbieraczów: o ileż ważniejszem jest zbieranie materyałów do socyologicznych monografij wsi! Nie wątpimy, że znajdą się i do tego gorliwi ochotnicy, tylko trzeba, aby ogół wiedział, że takie rzeczy się piszą i że są potrzebne.“

Praktycznie projekty p. K. nie są trudne do urzeczywistnienia. Do niedawna istniał i dotąd jeszcze, choć w cokolwiek słabszym stopniu, istnieje pęd do urządzania wycieczek letnich. Dotychczas, niestety, wycieczki te traktowano wyłącznie jako rozrywkę, i wszelkie popasy lub dłuższe odpoczynki, spowodowane różnego rodzaju przeszkodami, zapełniano flirtem, drzemką, lub... grą w karty. W rezultacie też wyprawy te nie przynosiły absolutnie żadnej korzyści, czego dowodem, że na kilkuset, można powiedzieć, wycieczkowiczów zaledwie grupka, pozostająca pod kierownictwem p. Al. Janowskiego, stała się w rezultacie pomocną temu autorowi w jego pracach, tyczących się wycieczek w różne okolice Królestwa. Pamiętajmy, że kraju swego dotąd, można rzec bez przesady, nie znamy, a jeśli znamy, to z ilustracyj pism obrazkowych, przedstawiających osławione już przed laty trzydziestu zwaliska i ruiny. *f.*

Sfrancuziała po polsku.

Smagani przez warszawskich filozofów reporterzy mogą zawołać: a jak piszą filozofowie warszawscy? Pan Maryan Massonius, żegnając ustępującą ze sceny Jadwigę Czakównę, pisze w *Gazecie Polskiej*: „Bo mniejsza o to, że szambelanowa pod niejednym względem sfrancuziała... Szambelanowa sfrancuziała, ale sfrancuziała po polsku!“ Tak, to nie Polka, która pojechała do Paryża, tam się wynarodowiła i przepadła, ale zasługa jej polega na tem, że została w kraju, że to typ „bardzo nasz,“ że jest to „motyl, którego poczwarka wychowała się pod strzechą naszego dworu wiejskiego!“ Piotr Chmielowski powiedziałby: „Krok tylko, by zapłonąć czcią dla ciemnej i pijackiej epoki Sasów“ („Hist. liter. pols.,“ VI, 10). Typowa reakcya, która u nas szalała między 1850—1856 rokiem, a z powodu której biadał Trentowski: „Naród sam zwrócił się lewo w tył i pędził szybko, by kolej żelazna, ku XIII wiekowi, prześcignął wnet pod tym względem Zachód, który stawiał potężny i w końcu zwycięzki opór, że stał się coś nakształt Hiszpanii północnej. Rzucano klątwy na filozofię, poniewierano rozum ludzki i umiejętność niepodległą... potwarzono a nawet prześladowano uprawiaczów i przyjaciół światła.“ Dziś księża piszą o „bankructwie wiedzy,“ poeci urągają „biednemu mózgowi ludzkiemu“ a filozofowie rozkoszują się błędami przeszłości, bo to nie jakieś cudze, ale „bardzo nasze.“ Jest to typowy zachwyt nacyonalistyczny. Jeszcze krok a niebawem wyczytamy: opój, ale bardzo nasz, szuler, ale bardzo nasz, złodziej, ale bardzo nasz! Czy nie postąpiłby godziwiej p. Massonius, gdyby zachwyty swoje skierował ku piękniejszym momentom naszych tradycyj, gdyby jako filozof zapłakał wraz z Trentowskim nad tem „lewo w tył“? Gdyby nam popularyzował takich bardziej naszych, jak Śniadeccy, Kołłątaje, gdyby złożył jaki listek sławy u stóp naszej Pallas Athene, bogini mądrości, gdy panna Czakówna ma tych listków tyle, że w końcu wybrała mirtowy? Czy, odwracając myśl Juliusza Cezara, nie będzie dla p. Massoniusa zaszczytniej zająć bodaj ostatnie miejsce śród filozofów, niż pierwsze śród reporterów? A zresztą, pomijając sprawę upodobania w rodzajach zaszczytów, pomijając nawet kwestyę filozofii, która niema nic wspólnego z recenzyjkami, czyż, będąc nawet skrajnym konserwatystą a choćby klerykałem, trzeba już koniecznie „wyrozumiałość“ dla minionych błędów zamieniać na „uwielbienie“ i śpiewać:

Byle sygnet na palcu, łyżka za cholewą,
To się pomknął gdzieś szlachcic i w prawo i w lewo,
I ktoś go potrzebował i przecież coś znaczył
I niejeden go chlebem i przyjaźnią raczył...

Z Tow. hygienicznego.

D. 11 b. m. odbyło się posiedzenie wydziału przeciwgruźliczego, na którem młody lekarz, dr. Starkiewicz, odczytał bardzo sumiennie opracowany i wiele naukowych danych zawierający referat p. t. „Ze statystyki suchot płucnych w oddziale wewnętrznym dawnego i nowego szpitala Dzieciątka Jezus.“ Referat zawierał więcej materyału czysto medycznego niżhygienicznego, ale i ta strona rzeczy została starannie uwzględniona. I tak naprzykład do wiedzieliśmy się, że wśród zdecydowanych suchotników z daleko już posuniętą chorobą znajduje się znaczny procent takich, którzy nie mają wcale gorączki i czują się subjektywnie stosunkowo nieźle; chorzy tacy, niecałkiem świadomi swego stanu, a więc niestrzegący się, nietylko sobie szkodzą, ale i swemu otoczeniu, które, nie obawiając się zetknięcia z pacyentami, łatwiej może podledz zarażeniu. Innym ważnym faktem jest to, że chorzy przeważnie zapóźno zgłaszają się do szpitali, wtedy mianowicie, kiedy stan ich jest już tak zły, że mało im pomóc można; tem większa szkoda, gdyż warunki w szpitalu są, na ogół biorąc, korzystniejsze, niż w suterenie lub na poddaszu, a tylko tacy chorzy zgłaszają się do szpitali. Zwłaszcza w nowym szpitalu, jak wykazały dotychczasowe spostrzeżenia, wyniki leczenia są o wiele lepsze, niż w starym. Prelegent poruszył też kwestyę rzekomej większej odporności Żydów na gruźlicę, którą nabyli drogą szczepienia naturalnego wskutek podlegania chorobie w najgorszych warunkach hygienicznych od wielu tysięcy lat. Sprawy tej nie można do tej pory oprzeć na danych statystycznych, gdyż ich z różnych specyalnych powodów jeszcze zebrać nie zdołano; można tylko powoływać się na ogólne dane biologiczne i spostrzeżenia, dokonane na innych zakaźnych i epidemicznie panujących chorobach. Za większą odpornością żydów przemawia wiele faktów; gdy rzecz ta zostanie poparta statystyką, będzie nam wolno żywić nadzieję, że gruźlica z czasem wskutek szczepienia naturalnego ulegnie znacznemu osłabieniu i klęska jej się zmniejszy. Tymczasem należy walczyć z nią przez polepszenie urządzeń sanitarnych i ogólnych warunków bytu całej ludności. Prelegent poruszył też sprawę statystyki gruźliczej u włościan. Dzisiaj, wobec braku lekarzy po wsiach, trudno jest mieć jakiekolwiek wiarogodne pod tym względem dane. Przewodniczący, dr. Sokołowski, zawiadomił, iż rozesłał ułożony przez siebie kwestyonaryusz do wszystkich proboszczów dyecezyi warszawskiej i włocławskiej z prośbą o wypełnienie go do końca roku. Pomimo że władza duchowna gorąco poleciła tę sprawę, do tej pory na 700 wysłanych egzemplarzy zwrócono zaledwie nieznaczną ilość. W dyskusyi nad tym przedmiotem dr. Tchórznicki zaznaczył, że na materyale, dostarczonym przez księży i urzędników zdrowia, opierać się nie można, gdyż nie będzie on naukowym. W wielu wypadkach śmierci na gruźlicę u dzieci, ksiądz jako przyczynę zgonu zapisuje ząbki, krwotok, lub najczęściej konwulsye, u starszych zaś wyschnięcie lub wodną puchlinę. Dane takie nie mają żadnej wartości naukowej i społecznej; o wiele więcej zaufania godnym jest wszelki materyał, zebrany, chociażby w niewielkiej ilości, w szpitalach. Obecnie we wszystkich szpitalach i na wszystkich oddziałach dane takie będzie się zbierało, jest przeto nadzieja, iż w ten sposób uda się po jakimś czasie uzyskać dostateczny materyał statystyczny do wyciągania wniosków o gruźlicy u nas.

Z sądów.

Warsz. Dniew. mówi o przepełnieniu wokandy sądów okręgowych Królestwa sprawami przeciwko niższym funkcyonaryuszom władzy administracyjnej. Stan ten jest wynikiem przepisów obowiązujących w warszawskim okręgu sądowym, na mocy

których każda najdrobniejsza nawet sprawa wytoczona urzędnikowi na służbie rządowej, zarówno jak wszelkie sprawy o obrazę strażników ziemskich lub żandarmów muszą być sądzone przez sąd okręgowy. Zdaniem *Warsz. Dniewn.* taki stan rzeczy nie może być niczem usprawiedliwiony, a w znacznej części przyczynia się do tamowania biegu spraw innych, mających o wiele donioślejsze znaczenie. Autor artykułu zaznacza w końcu konieczność uwolnienia od nawału tych spraw przez proste przekazanie ich sędziom pokoju, wyrażając zarazem przekonanie, że sprawy tego rodzaju byłyby o wiele mniej liczne, jeżeliby wyższe władze starały się ostudzać zbyt przesadzoną niejednokrotnie gorliwość swych podwładnych, nie w sprawach tyczących się służby oczywiście, lecz w wykazywaniu nagannej i niczem nieposkromnionej chełpliwości. *j.*

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Józef Sladek: *Urywki poetyczne*, tłomaczył z czeskiego Konrad Zaleski, Warszawa, 1902. — M. Rodoć: *Listy i pogadanki*. Warszawa 1902. — Irjal: *Cienie*. Kraków, 1903. — Jan Nowacki: *Pieśń*. Kraków, 1902.

We wcale ładnym przekładzie podał nam p. K. Zaleski blizko sto utworów poetyckich J. Sladka, autora, który w piśmiennictwie czeskiem zajmuje dość poważne stanowisko, niekoniecznie jako poeta. Jeszcze jeden drobny przyczynek do tego, byśmy kiedyś, w przyszłości, mogli pochwalić się dokładniejszą znajomością z plonami twórczej działalności pobratymców. Zdaje się jednak, iż tłomacz wybrał z obfitego dorobku Sladka utwory, niezupełnie go charakteryzujące. Podane urywki są może cokolwiek za słodkie, za miłe, za łagodne i niezbyt oryginalne. Przeważnie są to utwory miłosne, utrzymane w tonie sielankowym i wyczulonym. Gdzieniegdzie przecież koloryt sielankowy ustępuje sielskiemu; dźwięknie nam w uszach odgłos piosenki ludowej, żartobliwej i swawolnej cokolwiek, jednak utrzymanej w karbach przyzwoitości. Tu i owdzie zabłąka się romantyczno-rycerska nuta, lub czułostkowość przeistoczy się w ton rzewny i tęsknotę. — Do przekładu tłomacz dodał przedmowę, wyjaśniającą koleje życia autora i charakter jego poezyj. Może należało i we wzmiance życiorysowej i w przekładach położyć pewien nacisk na epizod amerykański w życiu autora.

Jest to zdanie pono już ustalone, że M. Biernacki celuje przeważnie w krótkich fraszkach i satyrach. Niniejsze „Listy i pogadanki" nie zadadzą kłamu temu poglądowi ani z uwagi na wybór przedmiotów satyry lub żartu, ani też ze względu na oprawę dowcipu i wycieczek humorostycznych. Wierszowane korespondencye Rodocia obracają się przeważnie (acz nie wyłącznie) około spraw miejscowych (lwowskich), a wśród tych cieszą się zupełnem równouprawnieniem tak sprawy gospodarki miejskiej, jak walka stronnictw, pragnących posiąść jak najwięcej miejsc radzieckich, lub wesołe przygody w hotelach, w których „po przepędzonej w nich już jednej nocy, człowiek takiej nabiera wnet odpornej mocy, pokąsany i zbity, jak gdyby ze stali ukuło mu powłokę ziemską — stu kowali." By serc naszych zbytnio nie zakrwawić, w tym i temu podobnych razach, wydawca dodaje uprzejmie uspakajające dopiski: „wszystko to uległo korzystnej zmianie przez lat 10 od czasu, gdy Rodoć to pisał." Niekiedy wprawdzie autor w jakim „Liście" lub „Pogadance" poruszy przedmiot, posiadający ogólniejsze, a dla Galicyi — polityczne znaczenie, lub dotknie ostrzem swego dobrodusznego humoru jakiejś przywary charakteryzującej nasze społeczeństwo. Co do oprawy, — naczelnem jej znamieniem jest rozwadnianie tematu, jak gdyby autorowi przedewszystkiem chodziło o rozciąganie wiersza do pewnej miary. „A teraz pisać dalej, czy nie pisać? Czekajno, niech policzę... aha, dwieście wierszy... Upadam do nóg. Koniec." Rozwlekłość, często nużąca, a bądźcobądź niepodwyższająca estetycznej ani obyczajowej wartości satyry, wyraża się zwłaszcza w chwytaniu byle jakiego po drodze nawijającego się przedmiotu; szeroko np. opowie nam Rodoć, jak to niesforny bęben umazał mu frak masłem, to znowu jak są piękne wiosenne aromaty — w mieście... „A tu nos twój z suteren, sklepów, albo sieni atakuje woń dymu, kartofli, pieczeni." Czy i tu magistrat zawinił? O ile wiemy, z miasteczkiem Rodoć godził się jako tako i zwolennikiem Ruskina nie był, lecz autorowi chodzi przedewszystkiem o przywołanie uśmiechu na usta pobłażliwego czytelnika... Jest to obowiązkowe rozjaśnienie się twarzy „humorysty." Nie w innym celu i nie z innych powodów ukaże nam też autor zabawną minę słomianego wdowca, któremu żona „dla pamięci" wypisała jak tasiemiec długą litanie o piesku faworycie, przewietrzaniu mieszkania, trzepaniu sprzętów i odzieży, niepóźnem do dom wracaniu itd. I nie co innego powie nam smutna historya o graczach, co „wzięli szlema" na „własne cztery karo." Kto z łatwością dowcipkuje i żartuje z takich powodów, nie czuje chyba w sercu swym zbytniej na świat zawziętości, bo inaczej czyżby umiał rzeczy dostrzegać? Istotnie pobłażenie dla śmiesznostek lub przywar ludzkich stało się w końcu artykułem wiary Rodocia, namiętnego niegdyś szermierza. Życie mnie nauczyło, jak marną jest skarga... Zabłysnęła mi ścieżka najmniejszego grzechu i dobrodusznego z pod serca uśmiechu." „Bo serce moje wady nawet bratnie kocha, i jeśli je wskazuje — nigdy nie przeklina."

„Pogadankom" musimy przyznać niejaką wyższość nad „Listami redaktora" (*Kuryera Warszawskiego*), gdyż tu częściej niż w „Listach" brzmi nuta poważniejsza, ocieramy się o cel, satyry godniejszy, co nam przypomni, że śmiech Radocia niezawsze i niekoniecznie polegał na robieniu dowcipów z wiosenno-miejskich aromatów i fraków zatłuszczonych, i że nawet niniejsze dobroduszne gawędy nie całkiem pozbawione były kolców, które od czasu do czasu zraniły acz niezbyt dotkliwie, jakąś osobę lub grupę ludzi. A gdy za to połajankę otrzymał, bronił się dumnie i szlachetnie „Bo jedynem dziś szczęściem, jakie mi zostało, Jest pełnić obowiązek otwarcie i śmiało, Bez względu, czy to komu miło, czy niemiło, A dumą to — że karku nie zginam przed siłą."

Od wesołości do smutku, od dnia jasnego do ciemności grobowej — nieraz krok jeden tylko. Krok ten uczynimy, otaczając się otmosferą „Cieni" p. Irjala. Tytuł zbiorku dobrany trafnie, gdyż wraz z odwróceniem pierwszej karty, ozdobnie wydanego tomiku, owiewa nas mroczny opar, przesłaniając błękit nad głową, głusząc śmiechy wesela. Zagadki bytu, perspektywa losów ludzkości, czującej pod stopami zrąb skały, co nad otchłanią zawisa, a głucho drży pod jej tchnieniem; dola jednostki, kroczącej przez trzęsawiska życia, miotanej żądzami, goniącej złudne szczęścia miraże... ze wszystkiego wywija się zimna, ciężka, wilgotna mgła i kładzie się nam na piersi; wszystko to są cienie, a ruch ich jest posłuszny miarowym uderzeniom pogrzebowego dzwonu, wydzwaniającego swe posępne: marność nad marnościami. Godne uwagi, że aczkolwiek wobec takiej filozofii trwałość urządzeń społecznych winna być rzeczą co najmniej obojętną, jednak autor, opisawszy zjawiska, poprzedzające wybuch wulkanu i pierwszy wybłysk lawy, dodaje melancholijną uwagę: „Smutna to prawda, straszne przekonanie, Że ludzkość stoi na takim wulkanie." Punktem wyjścia dla poety jest nie ludzkość, i nie człowiek nawet wogóle. Z jednolitego tła mroków wyodrębnia się przed nami osoba samego poety, jego własny stosunek do świata i do zagadek istnienia, ból jego własnej nierównowagi, mgła jego osobistego smutku. „Smutek bezbrzeżny, okrutny, *którego nie znam z nazwy ani z treści...* od świata życia wpadł do duszy wnętrza (?)." Fatalność! Grozi to łatwymi do przewidzenia skutkami, które sam autor najtrafniej ocenił. „I ciągle jedno... Myśl jak w błędnem kole, *W maleńkim krążku ciągle się obraca...* Tęsknota chmurą zawisła na czole I gdy na chwilę odejdzie — znów wraca. Na wszystkie inne radości i bóle Dusza i serce *wrażliwość zatraca.* Wszystko, co jej się tylko nie dotyczy, Nie jest też przez nią przyjęte, odczute. Jak ptak powtarza ciągle *jedną nutę... W małem ogniwku* całe życie skute..." W skargach poety wyczuwamy nutę niewątpliwej szczerości; mimo to trudno jakoś określić, czy forma poetycka ma być właściwym wyrazem tej często „z treści i z nazwy" niepoznanej i nienazwanej goryczy i tęsknoty? Zwykłą metodą autora jest roztaczanie obrazu, który przez dodanie w końcu paru wierszy zamienia się w alegoryę. Wzór podaliśmy w refleksyi o wulkanie. Przypomina to zdala „Sonety krymskie," tylko że tam wrażenie zmysłowe posiada znaczenie samoistne, splatające się tylko z uczuciem i wspomnieniem odmiennej natury. Utwory p. Irjola nie są też współczesnymi „nastrojami," gdyż odpowiednie uczucie, refleksya itp. nie wyłania się sama przez się z obrazu, w którym jest zawsze coś sztywnego. Gdy zaś autor zaniecha swych symbolicznych zestawień, natychmiast wpada w litanię. Za zaletę dykcyi p. Ir. poczytujemy, iż nie ugania się za szychem świecidełek frazeologicznych; styl jego odznacza się nieraz ujmującą prostotą. Cóż, kiedy na każdym kroku potrącamy o wyrażenie, o zwrot tak prozaiczny lub niezręczny, że wywołuje uśmiech albo wzruszenie ramion. „Gdy wicher życia tutaj duszę zagna, To się zapada w nie, *póki nie zginie.*" Pewnie. Niesprawiedliwy jest los, gdy jednym uściela drogę kwiatami, „a innym owe kwiaty, jak kosą podetnie, nim się we *względnie miłe* przyodzieją szaty," lecz poco zabłąkała się tu „względność," niby do jakiegoś wypracowania szkolnego? Ach, zapomnieliśmy, wszak to poezya filozoficzna! A ile nieraz naiwności w obrazowaniu lub wyrażaniu uczucia. Poeta błądzi między skałami, spojrzał w jakąś szczelinę i aż się cofnął. „Pustka, mrok, próżnia w przepaściach głębiny... Strach mnie ogarnął, *uciekać zacząłem*" (!!). Mniej poetycznie, więcej dziecinnie. Wszystko to, rozumie się, by spojrzawszy „w przyszłość mego życia" — „pojąć straszne położenie," iż od *tej* pustki ucieczki niema... Mniejsza wreszcie o szczegóły. Lecz w całym kolorycie „Cieniów" tyle jest jednostajności, tyle barw ogólnikowych, że trudno przewidzieć, kiedy nastąpić może owa chwila, w której poeta przejmie nas swym dreszczem, czy to wobec własnej jego „wężowej drogi," czy tragicznych „motywów" w tętnie życiowem ludzkości całej.

„Pieśń" p. J. Nowackiego to zbiór drobniejszych urywków, przedstawiających t. zw. poezye w prozie. Proza ta przybiera, jak było do przewidzenia, znamiona liryczne, jest ozdobna, lecz w miarę, nie zdradzając żadnego wysiłku ze strony autora; rzadka zaledwie dost

napół świadomych starań nadania jej kroju rytmicznego. Zaleca ją prostota. Całość „Pieśni“ sprawia dość miłe wrażenie, ale tu i owdzie spotykane nierówności stylu, a zarazem sposób ujęcia tematów każe nam przypuszczać, że mamy przed sobą młodzieńcze, niepewne jeszcze, a może i przedwczesne loty. Spojrzyjmy oto na „skon dnia letniego.“ W barwach jest pewna naiwność, przypominająca wczesne próby romantyków naszych lub ich epigonów, jak, dajmy na to, wrażenia młodziutkiego Zygmunta wobec Montblanc'u, jak Żmichowskiej „Podróż kobiety“ itp. „I chociaż znikł już ostatni różowy obłoczek, znikł ostatni ślad szczęścia, ty, oszołomiony tą nagłą zmianą, stoisz zdziwiony, nie mogąc, czy też nie chcąc wierzyć, że się już wszystko dla ciebie skończyło. I ta oto chwila, to zdziwienie, to wahanie się twoich uczuć, jest ową nieokreśloną chwilą, owym wieczorem, po którym następuje noc... I nastaje wtedy cisza, zda się, że wietrzyk nawet kona, nim doleci do drzew, aby ich nie potrącić przypadkiem...“ Jest to ów splot wrażeń bezpośrednich z symboliką uczuć, chwalony niegdyś przez Mickiewicza w młodzieńczych, dziecinnych napół próbach twórcy „Nieboskiej“; są objawy żywej wrażliwości spostrzegacza, sprawiającej, iż potrącenie z zewnątrz przeobraża się u niego w nastrój osobisty; a wszystko to ukazuje się w jasnem świetle świadomości analityka. Prawda to, lecz mimo wszystko wartość estetyczna tego „skonu“ wysoka przecież nie jest. I czy autor opowie nam dzieje pieśni, posiadającej moc rzeźbienia i uciszania bólu; czy to będzie miłość, w której Ona była „*takim* moim ideałem! *takiem* mojem marzeniem!“ — ideałem, któremu poeta nigdy nie zadał pytania, czy jest kochany, by się nie przekonać, iż Ona — to „kobieta tylko“; czy ukaże się nam dumna pięknością róża, u której stóp kona biedaczek-motyl polny, gdy ona z innym, wspanialszym, zaloty odbywa; czy kiedy nawet ciężką stopą minie nas prorok Lermontowski, napróżno głoszący słowa Przedwiecznego — naigrawają się zeń przechodnie, szatan go kusi, korzystając z chwili zwątpienia — zawsze znajdzie się w tem coś, co wzbudzi w nas odruch sympatyi, lecz sympatyi pobłażliwej. Nie podbija nas autor ani rozleglejszą perspektywą, ani odpowiednią dojrzałością uczucia, ani dostateczną subtelnością swych wrażeń lub wykwintnością formy. Wniosku tego nie usunie parę kartek ostatnich, w których dostrzegamy dość widoczne rzuty naśladowcze, uprzytomniające nam: i wizye bajecznego przepychu, spotykane u autora „Nad morzem,“ i tę retrospektywną metempsychozę, w której człowiek współczesny widzi siebie na tle świata młodzieńczego i wreszcie — właściwe autorowi przeczłowieczenie żywiołu morskiego. „Pieśń“ p. J. Nowackiego musi jeszcze zmężnieć, skrzydła swe wzmocnić i do lotów zaprawić, by pozyskać rzeczywiste prawo obywatelstwa wśród melodyj współczesnych.

A. Drogoszewski.

POEZYE

SERCE OBCE.

Nie znam Ciebie, choć głos mój iść ma do Twej [duszy,
Poruszyć myśl i serce, obce serce Twoje;
Nie znam Ciebie, lecz wszystkie, wszystkie [niepokoje
Mówią mi, że tam jesteś pośród świata głuszy.

Nie znam Ciebie, choć wydasz sąd o mojej [duszy
I spojrzysz w myśli moich zamącone zdroje
I zliczysz wszystkich marzeń pierzchające roje,
Niewidzialna — śród świata wciąż milczącej [głuszy.

Nie znam Ciebie—a jednak, ach, pewnego razu,
Ty nie wiesz, lecz sny Twoje wszystkie były [u mnie,
Dokoła mojej duszy napływały tłumnie,

Żądając życia, światła, kształtu i wyrazu —
I były u mnie wszystkie Twoje niepokoje
I serce Twoje było, obce serce Twoje...

Andrzej Niemojewski.

SPRAWY EKONOMICZNE

Rozwój monopolu w Anglii.

Rosły trusty amerykańskie, kartele i syndykaty, coraz nowe gałęzie przemysłu na kontynencie Europy wiązały się w szeregi monopolów, Anglia jednak przez długi czas wolna była od tego rodzaju organizacyj przemysłowych. Na taki stan rzeczy złożył się cały szereg przyczyn. Wielka przewaga ekonomiczna nad innymi krajami zapewniała przemysłowcom angielskim pewność zbytu i wysoką stopę zysku bez uciekania się do związków między sobą; długoletnia tradycya wpoiła w ich wolnohandlowe dusze pewne poczucie potrzeby współzawodniczenia z przeciwnikami i zwalczania konkurentów; firmom handlowym i przemysłowym działo się dobrze, a że ich kierownicy nie odznaczali się taką chciwością zysków i rzutkością, jakie cechują Amerykanów, więc trzymali się dawnych metod prowadzenia interesów, nie dbając o nowe kombinacye; niemałe znaczenie bezwątpienia miało w tej sprawie cechujące Anglików poszanowanie prawa, tego złego sprzymierzeńca promotorów trustów amerykańskich i ich naśladowców europejskich. Amerykański system protekcyonistyczny przyczynił się w znacznym stopniu do rozwoju trustów, więc niektórzy teoretycy angielscy w wolnohandlowej polityce Anglii upatrując ogólne i stałe lekarstwo na wszystkie dolegliwości ekonomiczne — wolnej konkurencyi, twierdzili, że niema tu gruntu dla wzrostu olbrzymich monopolów prywatnych. Bankructwo kartelu „Salt Union“ dostarczyło przykładu na poparcie tej teoryi. Dzięki więc podwójnemu wpływowi — faktów i teoryi, przez długi czas w najrozmaitszych sferach społeczeństwa utrzymało się przekonanie, że syndykaty i kartele nigdy przemysłu i handlu angielskiego nie opanują.

Te złudzenia zostały w przeciągu ostatnich lat kilku zupełnie rozbite. W każdej niemal gałęzi wielkiego przemysłu i handlu, w przedsiębiorstwach komunikacyi, nawet w drobnym przemyśle, powstały związki właścicieli, różnorodne „amalgamations,“ „concentrations,“ „combinations“ itp., będące niczem innem, jak typowymi kartelami i syndykatami, kryjącymi się pod nazwą zmienioną i do miejscowych upodobań przystosowaną.

Zobaczmy, jak wyrastały te związki w poszczególnych gałęziach przemysłu.

Zyski właścicieli przędzalń bawełny od dłuższego już czasu zredukowała do *minimum* silna konkurencya kolonialna i zagraniczna, otwarcie nowych, w najnowsze wynalazki zaopatrzonych fabryk i napastniczość potężnych trade-unionów. Lata całe fabrykanci udoskonalali przeciw-unijną organizacyę, by zmusić trade-uniony do ustępstw, lecz w r. 1897 okazało się ostatecznie, że trzeba rozstać się ze wszystkimi zamiarami zniżenia płacy roboczej. Od tej chwili w Lancashire zapanowała istna mania trustowa. Pierwszą pobudkę dał też przykład świetnych rezultatów finansowych, osiągniętych przez związek producentów nici; związek ten, uformowany przez dwie firmy w r. 1890 z kapitałem 5,750,000 funt. ster., po sześciu latach istnienia zmusił do przyłączenia się trzech najgroźniejszych współzawodników, a między nimi znaną u nas firmę Brooka; kapitał powiększono do 10 milionów, a dywidenda roczna wzrosła od tego czasu do 20%. Właściciele przędzalń, zawiedzeni w swych oczekiwaniach a zachęceni przykładem producentów nici, rzucili się też do zakładania związków. Już w grudniu 1897 roku piętnaście fabryk urządziło „amalgamacyę,“ rozporządzającą kapitałem 2 mil. funt. st. Prospekt oświadczał, że „przeciętne zyski lat ostatnich były małe, a wahanie cen, spowodowane nadmierną konkurencyą tak silne, że dyrektorzy nie mogą wziąć na siebie odpowiedzialności dania bardziej szczegółowego określenia pod tym względem“(!), spodziewają się jednak, że amalgamacya „przyczyni się do utrzymania stałego i odpowiedniego poziomu cen.“ Do „amalgacyi“ przystąpił następnie cały szereg fabryk. Inna grupa fabryk połączyła się w związek reprezentujący 5 mil. funt. ster. kapitału. Ten zaś nabył część akcyj od „amalgamacyi,“ dając w zamian swoje własne, tak że wszelka obawa konkurencyi pomiędzy nimi jest wykluczona — praktycznie tworzą one jedną organizacyę. — W r. 1898 została założona „The Fine Cotton Spinners' and Doublers' Association“ z kapitałem 6 mil. f. st.; trzydzieści dwie firmy, przeważnie z Manchesteru i Bostonu, weszło w skład „Association,“ a następnie przystąpiło jeszcze około dwudziestu fabryk, z których jedna, znajdująca się w Lille: Assocyacya rozporządza obecnie trzema i pół milionami wrzecion. W r. 1899 powstała organizacya drukarzy tkanin, której kapitał obliczono przy założeniu na 10 mil. funt. ster. Przędzalnie lnu związały się także w syndykat, obejmujący, prócz przedsiebiorstw angielskich, niektóre fabryki w Szkocyi, Irlandyi, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. W przeciągu ostatnich dwu lat znaczna część tkalni i przędzalni bawełny, które początkowo nie weszły w skład powyższych związków, przystąpiła do nich lub też utworzyła nowe organizacye typu kartelowego. Wszystkie te związki są w porozumieniu pomiędzy sobą, a łączące ich węzły zacieśniają się coraz bardziej, tak że samodzielność pojedynczych przedsiebiorstw i „wolna konkurencya“ należą już dziś w całym Lancashire do wspomnień z niedalekiej przeszłości. Jednym z przejawów zewnętrznych solidarności, wiążącej przemysłowców Lancashiru, jest połączenie się różnorodnych stowarzyszeń, mających na celu ochronę interesów przedsiebiorców w jednolitą organizacyę, wybierającą komitet parlamentarny; zadaniem tego komitetu jest zajmowanie się wszelkiemi sprawami, podnoszonemi w parlamencie a dotyczącemi przemysłu bawełnianego, oraz zakładanie apelacyi w ważniejszych sprawach sądowych.

W przemyśle żelaznym widzimy przedewszystkiem ogromny wzrost paru firm, przedstawiających, ze względu na charakter produkcyi, przedsiebiorstwa monopolistyczne, oraz, z drugiej strony — łączenie się samodzielnych dotychczas firm w potężne związki. Armstrong i C-o nabył w r. 1897 firmę „Whiworth i C-o,“ usuwając tym sposobem jedynego współzawodnika; zakłady pod firmą „Vickers i C-o,“ wyrabiające płyty stalowe dla okrętów wojen-

nych, połączyły się w r. 1797 z rywalizującą kompanią, a następnie nabyły fabrykę armat systemu Maxima, jednocząc w swem ręku cały niemal dział wyrobu urządzeń dla budowy pancerników. W r. 1899 dwadzieścia cztery fabryki żelazne połączyły się w jedno stowarzyszenie, reprezentujące kapitał 14,245,000 funt. sterl. Producenci kotłów i rur żelaznych w Szkocyi urządzili również „amalgamacyę“ swych przedsiebiorstw, nie tając się z tem bynajmniej. Oto, w jaki sposób jedno z pism fachowych charakteryzuje ogólny stan przemysłu: „Istnieje obecnie ugoda, czyli porozumienie się wytwórców szyn, okuć okrętowych, blachy kotłowej, sztab żelaznych oraz innych gałęzi tutejszego przemysłu żelaznego i stalowego, dzięki czemu ceny utrzymywane są na mniej więcej jednakowym poziomie.“

Przemysł żelazny Birminghamu, do niedawna nieznający wcale związków, w przeciągu ostatnich kilku lat zmienił zasadniczo swą fizyonomię. Drobne fabryki i warsztaty, tak charakterystyczne dla Birminghamu, połączyły się, dzięki inicyatywie niejakiego E. J. Smitha, w cały szereg organizacyi, z których każda obejmuje pewną specyalną gałąź produkcyi. Organizacye w Birmingham odróżniają się tem od innych, mających podobne cele, że oparte są na ścisłem porozumieniu między pracodawcami i robotnikami. Oto jak E. J. Smith przedstawia swój plan: „Dla przeprowadzenia organizacyi niezbędne uprzednie istnienie dobrze prowadzonego *trade unionu*, zarówno wśród robotników, jak i majstrów. Następnie trzeba starannie określić rzeczywisty koszt produkcyi każdego przedmiotu, którego cena ma być określona i stale kontrolowana, oraz oznaczyć stosunek zysku, jaki ostatecznie winien być otrzymywany; takie określenie nie wyłącza bynajmniej wytwarzania wyrobów tańszych; chodzi tylko o to, by koszta produkcyi, bez względu na ich normę, oznaczane były podług stale przyjętych zasad, i aby zawsze dodawać do nich właściwą normę zysku.“ *)

Opracowaniem cennika na powyższych zasadach zajmują się osobne komitety, złożone z przedstawicieli stowarzyszenia fabrykantów i związku robotniczego. Gdy ceny zostały tym sposobem określone, zawarty zostaje „alians“ między stowarzyszeniem fabrykantów i związkiem. Płace pozostają nadal takie same, jak poprzednio, i dopóki alians trwa, obniżone być nie mogą; oprócz płac zwykłych, robotnicy otrzymują udział w zyskach, regulowany podług specyalnej taryfy ruchomej; udział ten zwiększa dochód robotnika przeciętnie o 10%. Jedną z podstaw „aliansu“ stanowi zobowiązanie się fabrykantów, że będą zatrudniać wyłącznie robotników, należących do *trade-unionu*, oraz że wszelkie nieporozumienia z robotnikami rozstrzygane będą wewnątrz organizacyi przez wybieralne delegacye. Organizacya każdego fachu posiada osobny komitet, którego obowiązkiem jest czuwanie nad zmianami, zachodzącemi w handlu zagranicznym i poddawanie odpowiednich kroków w celu skutecznej walki z konkurencyą zagraniczną. Powyższy typ organizacyi, ciekawy ze względu na rolę, jaką odgrywają w nim stowarzyszenia robotnicze, wchodzące w bezpośredni związek z przedstawicielami kapitału w celu opanowania zysku, znajdujemy w fabrykach łóżek metalowych, sprężyn, rur miedzianych, rusztów, kominków, przyrządów elektrycznych, wyrobów elektro-platerowanych, szpilek i wyrobów majolikowych.

(D. n.)

T. Filipowicz.

*) Przytocz. w *The Growth of English Industry* H. W. Macrosty. London 1890.

O prawdę.

O bezecnej rzeczy.

(Odpowiedź panu Go—onowi).

W swem „nadesłanem“ p. t. „O szpetnym wyrazie,“ wydrukowanem w nr. 7 *Prawdy*, p. Go—on polemizuje z moim artykułem p. t. „Denuncyacya wobec moralności,“ wydrukowanym (muszę sprostować, że nie bezpłatnie!) w nr. 22 *Gazety Polskiej*. Dla wygody własnej konstruuje on sobie przedewszystkiem w moich poglądach sprzeczność, która absolutnie nie istnieje, a osiąga to szczególnie za pomocą: a) fałszywej cytaty; b) nieuzasadnionego niczem przypuszczenia. Ja mianowicie, potępiwszy wogóle dobrowolny udział osób prywatnych w ściganiu przestępców, zrobiłem zastrzeżenie, że bynajmniej nie potępiam wszelkiego „wciskania się do prawa pisanego i jego organów,“ i myśl moją wyjaśniłem, jak następuje:

„Tak np. przywołanie pomocy sądu przeciw nieuczciwemu uwodzicielowi biednej dziewczyny, albo przeciw pracodawcy, niesłusznie zatrzymującemu, czy też obcinającemu zapłatę, wogóle powiedziałbym w tych wypadkach, *kiedy pokrzywdzony jest społecznie słabszym* (bardzo proszę nietyle, p. Go—ona, ile czytelników, o zwrócenie uwagi na to kryteryum!), jest zupełnie uzasadnione i nic mu zarzucić nie można z punktu widzenia moralnego; moralność każe też każdemu człowiekowi prywatnemu nie odmawiać ofiarom takich krzywd swej pomocy. Jednak i w tych wypadkach trafny instynkt mówi nam, że pomoc prywatnego człowieka *nie powinna posuwać się aż do denuncyacyi*. *Groźba* denuncyacyi może być w pewnych wypadkach uzasadniona, mianowicie wtedy, gdy może skłonić winnego do naprawienia krzywdy. Kiedy można *zapobiedz* występkowi, *mającemu charakter krzywdy*, wówczas oczywiście uczciwy człowiek obowiązany jest to zrobić, bez względu na następstwa prawne, jakie to pociągnąć może.“ To ostatnie zdanie, panie Go—on, znaczy oczywiście np.: Jeśli widzę, że jeden chce drugiego zabić, to mam obowiązek przeszkodzić temu zamiarowi, chociażby moja interwencya musiała pociągnąć za sobą zamknięcie winowajcy w kryminale — rzecz, do której wogóle przyczyniać się nie mam nigdy najmniejszej ochoty.

Tak ja pisałem, p. Go—on zaś opuścił sobie słowa: „Kiedy można zapobiedz występkowi, mającemu charakter krzywdy,“ co mu pozwoliło przypisywać mi twierdzenie, że denuncyacya jest obowiązkiem, jeśli może skłonić winnego do naprawienia krzywdy — gdy tymczasem ja w tym wypadku dopuszczam co najwyżej, i to warunkowo, *groźbę* denuncyacyi. P. Go—on nie był co prawda zupełnie pewien swego, więc poradził sobie nieco dalej za pomocą przypuszczenia, że ja „prawdopodobnie przechylam się na tę stronę, aby chwytać niektórych przestępców, mianowicie tych, którzy naprawią krzywdę.“

O, bynajmniej, proszę pana. Ja wszelkie „chwytanie“ i uczestnictwo w niem pozostawiam innym. A wie pan: dlaczego? Dlatego, że „uznaję wprawdzie najzupełniej organizacyę społeczną, jako siłę i władzę, regulującą lub znoszącą walkę o byt pomiędzy ludźmi,“ lecz należę do tej nielicznej wprawdzie jeszcze, ale mającej przyszłość przed sobą szkoły kryminologów, która kary za „narzędzie sprawiedliwości lub poprawy“ istotnie nie uważa— a już tembardziej kary, opartej na sprawiedliwości klasowej. Konsekwentnie też odrzucam wszelką denuncyacyę, *zmierzającą* do innej kary, jak sąd opinii publicznej. Uznaję też, oczywiście, w każdem społeczeństwie potrzebę „ubezwładnienia lub poprawy złej woli,“ ale nie pojmuję, jak można te rzeczy stawiać na równi z „wymiarem kary.“ Kiedy społeczeństwo będzie istotnie ludzi szkodliwych i niebezpiecznych tylko ubezwładniać, poprawiać i — dodajmy — leczyć, zamiast mścić się na nich, i kiedy — prócz tego — o szkodliwości ich i „zbrodniczości“ sądzić przestanie z punktu widzenia interesów klasowych, i kiedy spełni należycie swój pierwszy obowiązek: zapobiegnie rozwojowi i uwydatnieniu się rzeczywistych skłonności zbrodniczych — wówczas, ale dopiero wówczas denuncyacya przestanie być rzeczą haniebną, przestanie zresztą być denuncyacyą.“ Zasada zaś p. Go—ona, że „należy wydawać złoczyńców straży społecznej, ile razy jest się przekonanym, że ona będzie dla nich, według naszego sumienia, istotnie sprawiedliwą“ — zasada ta jest zupełnie niewystarczająca, a to dla dwóch powodów: Po pierwsze dlatego, że takiej pewności wcale a wcale mieć nie można; powtóre — i to powód ważniejszy jeszcze — dlatego, że nie każdy głos sumienia, każący komuś uważać danego człowieka za złoczyńcę i oddać go w ręce „karzącej sprawiedliwości,“ może być uznany za moralny, przeciwnie, bardzo często taki głos, takie uznanie kogoś za złoczyńcę podług swojego sumienia *motywy* tego sądu, ba! całe takie sumienie,— mogą być i bywają po prostu podłemi. Podobnym instynktom w społeczeństwie jak najenergiczniej zapobiegać należy.

I *dlatego* sprawa ta jest ważna i dlatego zabrałem w niej głos. Czy p. Go—on sądzi doprawdy, że mnie, albo że Gustawa Daniłowskiego, w którego towarzystwie ze szczerą przyjemnością się znalazłem, obchodzą jacyś tam Humbertowie, albo jakiś tam Cotarelo? Że złe jest bliżej nas, że nasze sumienie publiczne domaga się wychowania etycznego, o tem świadczą właśnie trzy inne odpowiedzi na zapytanie *Gazety Polskiej*, wydrukowane w tem piśmie, a broniące denuncyacyi nie warunkowo — jak pisze p. Go—on — lecz bezwarunkowo. Ile w tych listach, pochodzących od naszych przeciętnych rodaków, nagromadzono filisterstwa, brutalnego egoizmu, ciasnoty umysłowej i uczuciowej — to aż dreszcz przejmuje! Ale p. Go—on nie ich autorów obrał za cel swej polemiki. Jeden z nich, niejaki Niewiadomski, napisał, że „względy humanitarne należy zostawić Żydom, tchórzom i socyalistom.“ To p. Go—ona nie wzruszyło. No, co do Żydów przynajmniej, to, porównawszy ich dowcipnie w swoich poprzednich artykułach do chrabąszczy, znoszących jaja pod jego bystrem okiem, a nawet do soliterów, jątrząc w ten sposób i tak już rozjątrzoną, haniebną ranę naszego społeczeństwa — może on być pewien głębokiej sympatyi takich Niewiadomskich. Ja — wolę zawsze wywoływać ich antypatyę.

Może pana Go—ona, albo nawet czytelnika zdziwi ostrość mojej odpowiedzi? Pochodzi ona stąd, że uważam za rzecz bardzo ważną, niezbędną, wytwarzać w społeczeństwie bezwzględny wstręt do denuncyacyi i denuncyatorów, i w wystąpieniu takiem, jak p. Go—ona, utrudniającem jednomyślność przynajmniej postępowej opinii pod tym względem, widzę krok bardzo fałszywy i szkodliwy. Czy p. Go—on wcale nie zrozumiał treści następującego mojego zdania: „Etyka musi szczególnie bezwzględnie stać przy potępieniu wszelkiej denuncyacyi, ponieważ powoływanie się na dobro publiczne dla usprawiedliwienia pewnych denuncyacyj prowadziłoby konieczność do zatarcia granicy, do usprawiedliwienia i innych — jak to widzieliśmy na przykładzie Rzędziana“ (który wydał rebelianta Bohuna, ponieważ był to króla jegomości i rzeczypospolitej nieprzyjaciel)? — I tego drugiego zdania: „Gdy etyka potępia takie przystosowanie się jednostki do prawa panującego, które popycha jednostkę aż do denuncyacyi, to dobrze wie, co robi: stoi na straży samej możności dalszego przekształcania się, zdrowego, normalnego rozwoju prawa“? Jeśli nie zrozumiał, no, to trudno, lepiej mu tego wytłomaczyć nie mogę. Ale jeśli zrozumiał... Nie, tego wolę nie przypuszczać.

Szczęście to jeszcze, że artykuły p. Go—ona drukowane są w *Prawdzie*, jako „nadesłane...“

Kazimierz Krauz.

Pan Niemojewski, kiedy siadał do ostatniego swego fejletonu w *Prawdzie*, miał może szczery zamiar powiedzenia kilku zdrowych prawd naszej kobiecie, lecz zamiaru tego nie wykonał. Zarzuty jego są zbyt ogólnikowe, owinięte w pachnącą bibułkę dziedzicznej rycerskości, nie sięgają do głębi dusz naszych, do serc dna, nie stawiają winnych pod pręgierz. Dlaczego? Jeśliśmy zasłużyły, należało nas tam postawić. Mężczyźnie winnemu mówi się otwarcie: jesteś zakałą swego społeczeństwa, wstydem jego i hańbą; kobiecie zaś, jeśli nawet to o niej myślimy, powiemy tylko bardzo miękko ze słodkim uśmiechem na ustach: przed ślubem byłaś gąską niewinną, a po ślubie — igraszką w ręku męża, władczynią i niewolnicą zupełnie tak, jak gdyby ta gąska, igraszka, władczyni i niewolnica odrazu wyskoczyła dojrzała, jak dzika kaczka z jajka, jak gdyby jej nikt nie hodował, nikt nie kształcił, i nikt nie był odpowiedzialny za jej wartość moralną i umysłową. Pan Niemojewski zna jakąś garsteczkę kobiet rozumnych, kobiet-ludzi i w imię uznania swego dla tej garstki—kropli w morzu, nie potępia reszty, lecz łagodnie nawołuje do poprawy wsteczniczki, wbija w ambicyę niewolnice i gąski, jak gdyby nie wiedział, że w tym świecie, drogą naturalnej mu przemiany gąski z biegiem czasu przeistaczają się tylko na indyki lub inne tym podobne, z rozumu i dobroci znane stworzenia.

Wyemancypowałyśmy się z zależności od rodziny, nawet od społeczeństwa— to prawda, tylko nie od swojej natury: jesteśmy po dawnemu córkami tych samic, które sto lat temu przeszło wytańcowywały z panną Lullie na zamku grodzieńskim. Kochamy się, jak one, w blaskach szychowych, w próchnie świecącem, omdlewamy z rozkoszy na widok śmiałego opryszka, eleganckiego niceponia, tenora dobrze zbudowanego lub błazna cyrkowego, zuchwale mizdrzącego się do nas. A po za tem nic nas nie obchodzi, nic nie widzimy, dotknięte ślepotą znikczemnienia. Ludzkość, społeczeństwo, przyszłość, praca, jakieś zasady, jakieś cele, obowiązki — dla nas to nie istnieje. W podróż między kolebką, łożem małżeńskiem a trumną najpraktyczniej puszczać się z lekkim bagażem w głowie i w sercu. Tak, miałyśmy być solą tej ziemi, a jesteśmy pasorzytem na jej ciele, błędnym ognikiem, prowadzącym na bezdroża myśli, uczucia i czynu. My, rzeźbiarki przyszłości, ukochałyśmy chochoła i zrobiły z niego swoje bóstwo. Co może wyjść z rąk takich, jeśli nie potwory lub garnki gliniane?

Kobieta.

MIĘDZYNARODOWY RYNEK PRACY.

W Niemczech od jesieni liczba poszukujących pracy, jakkolwiek wciąż jeszcze znaczna, stopniowo zmniejszać się zaczyna. W styczniu roku bieżącego na 100 miejsc wakujących było już tylko według „danych“ *Arbeitsmarkt-Corespondenz*, 202,2 poszukujących, gdy w roku zeszłym, w tymże miesiącu 241,6. Cyfry te przez porównanie tylko między sobą wyrażają względną pomyślność, gdyż ogólnie biorąc, jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od normalnego stanu na rynku pracy. Zmniejszenie się ilości rąk bezrobocych przypisać po części należy łagodnej aurze styczniowej, wskutek czego cały prawie ten miesiąc można było pracować na powietrzu. Wyszło to przedewszystkiem na dobre ludziom, zajętym w przemyśle budowlanym. W górnictwie także styczeń nie zawiódł nadziei, z jakiemi rok rozpoczynano. W przemyśle węglowym jednak wskutek zmniejszonego zapotrzebowania na węgiel opałowy położenie było tak niepomyślne, że na niektóre cechy górnicze znowu wypłatę zapomóg bezrobocych nałożyć trzeba było. Najpomyślniej przedstawia się stan pracy w przemyśle żelaznym; dzięki silnemu zapotrzebowaniu na wywóz, warsztaty są w pełni czynne i zatrudniają więcej, niż było w przeciągu roku. W wielu innych gałęziach przemysłu wzmogła się także liczba zatrudnionych. W niektórych zaś, w fabrykach np. maszyn, narzędzi, wagonów, zarówno jak w przemyśle elektrycznym ruch dotąd jeszcze jest słaby. Przemysł drzewny przedstawia się niejednakowo pod tym względem, gdy bowiem w stolarstwie budowlanem na brak pracy skarżyć się nie mogą— w stolarstwie meblowem okazała się konieczność rozpuszczenia po Bożem Narodzeniu znacznej ilości rąk roboczych.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Utworzona z rozporządzenia władzy wyższej osobna komisya do uregulowania spraw szpitalnictwa warszawskiego, opracowała projekt zreformowania podatku szpitalnego w ten sposób, że opłacie podlegać mają wszyscy mieszkańcy Warszawy, z wyjątkiem pewnej tylko kategoryi osób, oraz młodzieży, która nie doszła do lat 17, wychowańców zakładów naukowych, służby kolejowej i znajdujących się w przytułkach dobroczynnych. Opłata roczna wynosić będzie 1 rb. 50 kop. od osoby, a dochód stąd osiągnięty przeznaczony ma być między innemi na powiększenie liczby łóżek dla chorych oraz zbudowanie nowych szpitali.

— Austryacki minister wojny wydał rozporządzenie, ażeby władza wojskowa w Krakowie zarządziła stopniowe wycofywanie załóg, mieszczących się na zamku Wawelskim. Naprzód opróżniony ma być zamek królewski, potem kolejno inne budynki, tak że ostatni termin oddania Wawelu miastu ma nastąpić w r. 1909.

— Komitet naukowy ministeryum oświaty oświadczył się za wprowadzeniem w gimnazyach w godzinach pozaszkolnych nieobowiązującej nauki języków nowożytnych.

— Do delegacyi pracy kobiet warszawskiego oddziału przemysłu i handlu zwróciło się z prośbą grono magazynierek, szwaczek, kwiaciarek itp. w sprawie polubownego załatwienia kwesyi unormowania dnia roboczego. Prezydyum delegacyi w sprawie tej rozesłało do właścicieli pracowni odpowiedni kwestyonaryusz. (*Gaz. Pols.*)

— Obecny na odczycie budowniczego, prof. Ebhardta cesarz Wilhelm przystąpił do będącego tamże słynnego heraldyka, prof. Stefana Kekule von Stradonitza, i rozmawiał z nim o drzewie genealogicznem Hohenzollernów. Dr. Kekule odrzekł, iż właśnie obecnie pisze dzieło, w którem udowadnia, iż Hohenzollernowie pochodzą od Karola Wielkiego. Na to odrzekł cesarz: „Sądzę, iż nie będzie ulegać żadnej wątpliwości, że my pochodzimy także od św. Elzbiety i św. Jadwigi.“

— W *Gaz. Poslkiej* czytamy: „Ponieważ na posiedzenie utworzonego przed 4 laty w Krakowie komitetu, który ma się zająć sprowadzeniem zwłok Jul. Słowackiego do kraju, nie przybyła i nie usprawiedliwiła się z tej opieszałości znaczniejsza część członków, przeto zebrani, pod przewodnictwem p. Kazimierza Bartoszewicza, uchwalili powołać do życia nowy komitet, do którego utworzenia upoważniono młodzież akademicką.“

Z Poznańskego. Wyrokiem gnieźnieńskiej izby karnej skazany został znany z procesu St. Śmidowicz z Wrześni na 11,50 m. kary za to, że córki swej, Bronisławy, która skończyła lat 14, nie chce posyłać do szkoły. Bron. Śmidowicz bawi w Zakopanem. Sąd zagroził ojcu płaceniem takiej samej kary za każdy miesiąc, aż do czasu przyjazdu córki z Zakopanego. Wniesioną została apelacya do wyższej instancyi.

— Na wiosnę ma się odbyć w Toruniu pierwszy „na kresach wschodnich“ kongres kobiet niemieckich z Poznańskiego, Prus Wschodnich i Zachodnich, na którym będą przedstawione owoce ich działalności germanizacyjnej, a następnie ułożony plan dalszej, gorliwszej, niż dotąd, akcyi w obronie „zagrożonej niemczyzny.“

Szkoły i wychowanie. Na zasadzie okólnika, wydanego przez ministeryum oświaty, kurator okręgu naukowego warszawskiego zażądał od policyi, ażeby nie pozwalała uczniom szkół średnich na branie udziału w posiedzeniach towarzystw naukowych, bez pozwolenia ich zwierzchniej władzy.

— Na odbytych w styczniu r. b. w politechnice warszawskiej egzaminach ostatecznych 25 studentom przyznano stopień inżeniera-technologa pierwszej klasy, 3 — trzeciej klasy, a 11 — stopień inżeniera-budowniczego.

— Galicyjska rada szkolna zabroniła wykładu nauczycielom, u których stwierdzoną zostanie gruźlica, uczniom nakazano, ażeby unikali wzajemnego całowania się w twarz. Oprócz tego rada zaleciła wykonanie całego szeregu przepisów hygienicznych, mających na celu zapobieganie szerzeniu się suchot śród uczącej się młodzieży.

— Do niektórych szkół handlowych w Warszawie wprowadzono naukę pisania lewą ręką.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, iż brak stopni z przedmiotów nieobowiązkowych w świadectwach z ukończenia gimnazyów żeńskich, nie może być przeszkodą do odznaczenia uczenic medalami.

— Według obliczeń urzędowych, Warszawa posiada 626 różnych zakładów naukowych, w tem 235 rządowych i 391 prywatnych. Wszystkich uczących się w szkołach jest 39,296, nauczycieli — 2,034, czyli na jednego nauczyciela przypada 659 uczn. Biorąc liczbę mieszkańców 800,000, wypadnie jeden uczący się na 2,357 m.

— Do rady państwa wniesiony został projekt ustawy wykształcenia wiejsko-gospodarczego, według którego wolno będzie otwierać szkoły w celu przygotowania specyalistów w zakresie gospodarstwa wiejskiego i rozpowszechnienia wiedzy wiejsko-gospodarczej; oraz niższe i średnie zakłady szkolne z szerszem uwzględnieniem przyrodoznawstwa w zastosowaniu do gospodarstwa wiejskiego. Dla przyjścia z pomocą wykształceniu wiejsko gospodarczemu urządzone będą praktyczne gospodarstwa, ogrody botaniczne, muzea w głównych miastach i powiatach, biblioteki, czytelnie itp. Niższe zakłady dzielą się na szkoły niższe i szkoły praktyczne wiejskie; w celu rozpowszechnienia niezbędnych wiadomości tworzone będą także klasy, kursa, prelekcye, rozprawy itd., w których dla miejscowości z ludnością nierosyjską używane będzie narzecze miejscowe. Te instytucye, według ustawy, powstawać mogą z funduszów ziemstw, towarzystw rolniczych, włościańskich itp. Udział skarbu w wydatkach na utrzymanie szkół średnich określają oddzielne przepisy; wydawane będą także subsydya od 3 do 10 tys. rub. Kuratorów i komitety nadzorcze wybierają z pośród siebie rolnicy miejscowi. Kurs nauki w szkołach średnich trwać ma lat 6, w niższym 3 lata.

Wiadomości naukowe. Rozstrzygnięty został konkurs, ogłoszony przez inż. Kucharzewskiego, z nagrodą 300 rb., za najlepszy artykuł, wydrukowany w *Przeglądzie Technicznym* w r. 1902. Nagrodę przyznano p. St. Nakielskiemu za pracę p. t. „O smarach,“ nadto wyróżniono drugą, p. A. Wolskiego, p. t. „Maszyny i narzędzia rolnicze w państwie rosyjskiem.“

— W Krakowie zawiązało się „Towarzystwo pielęgnowania nauk społecznych,“ które zajmować się będzie wyłącznie sprawami z zakresu socyologii.

Ze sztuki. Z inicyatywy właściciela majątku Raszków w gub. Podolskiej, delegacya architektoniczna Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie ogłosiła konkurs na projekt dworu wiejskiego. Nagrody dwie: 300 i 200 rb.; nadto projekty nienagrodzone mogą być nabyte po 100 rb. Prace konkursowe nadsyłać należy do redakcyi *Przeglądu technicznego* (Krakowskie Przedm. 66) do d. 28 marca r. b. Bliższych szczegółów zasięgnąć można w powyższej redakcyi, oraz w Tow. przyj. nauk w Poznaniu i w wydawnictwie *Architekta* w Krakowie.

— W Tow. Zachęty otworzone zostały wystawy: dzieł malarskich krakowskiego stowarzyszenia „Sztuka,“ rzeźb K. Laszczki, oraz zbiorowa prac L. Wyczółkowskiego.

— Wystawa ogólna prac członków Towarzystwa fotograficznego otworzona będzie d. 15 kwietnia r. b.

Sprawy ekonomiczne. Zarząd intendentury okręgu wojskowego warszawskiego upoważnił urzędownie Towarzystwo rolnicze warszawskie do pośredniczenia w dostawie zboża od właścicieli ziemskich. Wobec tego wszystkie deklaracye zarówno od członków Tow., jako też wogóle od rolników gub. Warszawskiej powinny być nadsyłane wprost do Towarzystwa, które od siebie zawiadomi zarząd intendentury o ilości zadeklarowanego zboża i o miejscach dostawy. Zarząd

intendentury nadmienił, że przedstawienie dwóch marek stemplowych na podawanych deklaracyach jest zbyteczne; jednocześnie zarząd Tow. od siebie będzie wydawał świadectwa, że zadeklarowane zboże jest własnego zbioru sprzedawcy.

— W maju r. b. odbędzie się w Petersburgu wszechrosyjska wystawa sadownictwa.

— Ministeryum skarbu poleciło inspektorom fabrycznym dopilnować, ażeby w książeczkach obrachunkowych robotniczych wpisywane były wszystkie warunki umowy o najmie, oraz notowana niezwłocznie każda zmiana, jaka zajdzie podczas trwania umowy.

Poczta. W celu szybszego przesyłania korespondencyi listowej między Warszawą, Wilnem i Petersburgiem, zarząd kolei, łączącej te miasta, urządził skrzynki pocztowe na zewnątrz wagonów I klasy pociągów pospiesznych.

— W urzędzie pocztowym warszawskim ma być powiększoną liczba urzędników; każdy z dziewięciu wydziałów ma otrzymać odpowiedni potrzebie personel urzędniczy, a pensye ich będą podwyższone do wysokości od 360—1,500 rb. rocznie.

Katastrofy. D. 7 b. m. pod Katowicami spadł z mostu pociąg towarowy —cała służba zginęła.

— W Bay City, w Michigan, skutkiem orkanu na jeziorze załamało się w zatoce pole lodowe, na którem 40 rybaków mieszkało w szałasach; wszyscy zginęli.

— W Cuidad-Real, w Hiszpanii, runęła wieża kościoła Dominikanek na zabudowanie klasztorne Kilka zakonic padło ofiarą wypadku.

— Z Ekaterynodaru donoszą, że d. 10 b. m. około Złotoustu rozbił się pociąg osobowy, dążący z Ufy do Czelabińska; kilka osób poniosło śmierć na miejscu, kilka umarło skutkiem ran, a około 30 odniosło większe lub mniejsze obrażenia.

Zmarli. Tadeusz Konopka, archeolog w Krakowie. James Glaischer, meteorolog angielski, autor licznych prac z zakresu meteorologii, astronomii i teoryi liczb, w Londynie, w 94 roku życia.

Odpowiedzi Redakcyi.

Długoletniej Czytelniczce. Prosimy o nadesłanie adresu lub osobiste zgłoszenie się do redakcyi a udzielimy wskazówek.

Dwudziesty drugi rok z rzędu wypada nam odwołać się do ofiarności publicznej, w celu zapewnienia dzieciom najuboższej ludności Warszawy w ciągu lata r. b. dobrodziejstw świeżego powietrza i zdrowego posiłku.

Zwiększając corocznie liczbę dzieci, wysyłanych na wieś staraniem Kolonij Letnich, w roku ubiegłym dosięgnęliśmy pokaźnej cyfry 3,000, w stosunku do liczby ludności i warunków jej bytu jest to zaledwie część, która nie czyni zadość potrzebie.

Towarzystwo nasze z całą wiarą odwołuje się do społeczeństwa, wiedząc dobrze, jak chętnie spieszy ono zawsze z pomocą potrzebującym.

Kolonie Letnie dotychczas istniały i rozwijały się kosztem zbieranych ofiar i w tym roku przystępujemy do roboty z niezłomną nadzieją, że oczekiwania ubogich rodziców, niemogących własnymi środkami ratować swoich dzieci, zawiedzione nie będą, a liczba wysłanych na wieś przewyższy dotychczasową.

Ofiary składać prosimy w biurze Towarzystwa Kolonij Letnich (Hortensya nr. 1), oraz w redakcyach pism.

Aleksander Czajewicz, Stefan Godlewski, Dr. Julian Gawroński, Wanda Higersberger, Dr. Wiktoryn Kosmowski, Henryk Konic, Edward Lilpop, Dr. Stanisław Markiewicz, Dr. Antoni Natanson, Jadwiga Pawińska, Mieczysław Pfeiffer, Stanisław Rotwand, Bonawentura Toeplitz, Dr. Anna Tomaszewicz-Dobrska, Mieczysław ks. Woroniecki.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Февраля 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.